



Dziedzictwo
kulturowe
Pogórza



Dziedzictwo
kulturowe
Pogórza



**Publikację opracowano w ramach projektu
„Korzenie przyszłości Pogórza”
Pilotażowy Program Leader +.**

Projekt realizowany jest na obszarze gmin
Gromnik, Ryglice, Rzepiennik Strzyżewski,
Szerzyny, Tuchów.

Biuro Pogórzańskiego Stowarzyszenia Rozwoju,
ul. Chopina 10, 33-170 Tuchów, tel. 014 652 54 36,
pogostoro@interia.pl, www.leaderplus.tuchow.pl

Zespół Redakcyjny:

Autorzy tekstów jak w publikacji pod kierunkiem
Józefa Koziola, Piotra Firleja

Opracowanie graficzne i skład:

Bożena Wojtanowska, Mirosław Dryła, Marcin Lisak
www.marketingstudio.pl, tel. 0601 868 412

Zdjęcia:

Jadwiga Bryndał, Piotr Firlej, Grzegorz Jarzębak

Rysunki do legend:

Dagmara Bęben (str. 33-34)

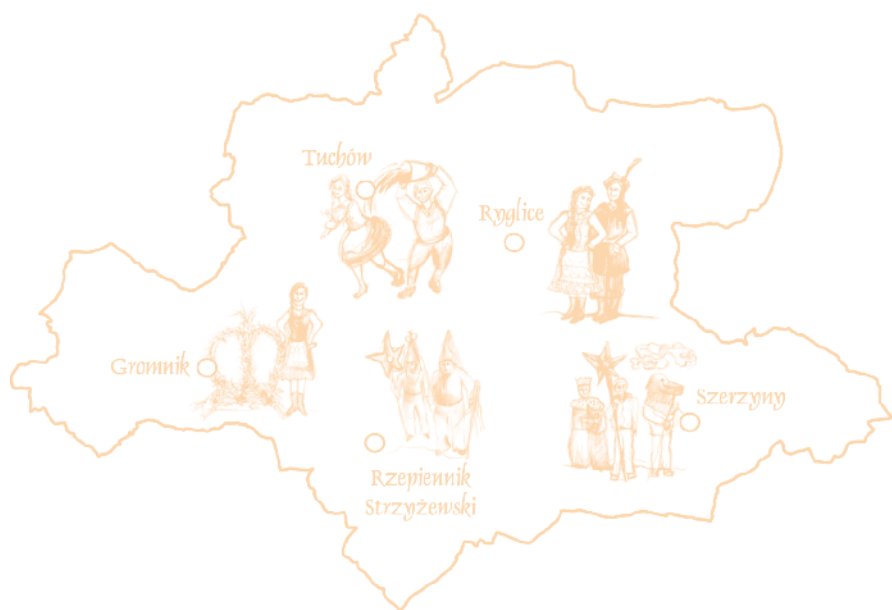
Rysunki:

Bożena Wojtanowska

Rok 2008

Nakład: 1500





Korzenie przyszłości Pogórza

SPIS TREŚCI

Spis treści	5
Wstęp	7
Nazewnictwo terenowe - przysiółki	9
Tradycje ludowe, zwyczaje i obrzędy w cyklu rocznym na Pogórzu Karpackim	17
Legendy i podania	31
Zdjęcia	33
Bibliografia	63

Korzenie przyszłości Pogórza

*„/.../ aby drogę mierzyć przyszłą,
trzeba-ć koniecznie p o m n i e ć,
skąd się wyszło!*

C. K. Norwid



Nie bez powodu przytoczyłem na wstępie te właśnie słowa C.K. Norwida. Niniejsza publikacja bowiem odnosi się do programu nazwanego „**Korzenie przyszłości Pogórza**”, realizowanego przez **Pogórzańskie Stowarzyszenie Rozwoju** w ramach Pilotażowego Programu Leader +. Nazwa realizowanego programu wskazuje na potrzebę szukania – obrazowo rzecz ujmując – pomostu „między dawnymi i młodszy mi laty”, między przeszłością a przyszłością, pokazania, że to, co się tu, na Pogórzu, przedsięwzięrze, mając na uwadze przyszłość, zakorzenione jest w przeszłości tego regionu, do niej nawiązuje. A przeszłość ta jest bogata.

W tej publikacji sięgniemy do niektórych jej elementów: nazewnictwa terenowego, legend i tradycji.



Nazewnictwo terenowe –
przysiółki

Na ogół wiadomo, że nazwy – zarówno osobowe, jak i terenowe – mówią, tzn. zawierają jakąś informację. Rzecz w tym, żeby ją prawidłowo odczytać, co w wielu przypadkach łatwe nie jest. Badaniem pochodzenia i pierwotnego znaczenia wyrazów zajmuje się dział językoznawstwa zwany etymologią. W polszczyźnie, jak w każdym języku żywym, zachodziły w ciągu wieków zmiany, między innymi w słownictwie: zanikały pewne wyrazy lub zmieniały znaczenie, na ich miejsce pojawiały się nowe. Przeciętny użytkownik języka nie zna tych zmian i jeżeli próbuje „odczytać” jakąś nazwę, często kieruje się podobieństwem brzmieniowym. Mamy tu więc do czynienia z tzw. etymologią ludową, która najczęściej nie pokrywa się z tą naukową. Klasycznym przykładem jest tu nazwa „Częstochowa”, którą ta pierwsza interpretuje następująco: „gdy się do niej idzie, często się chowa wśród wzgórz”; ta druga zaś powiada, że jest to nazwa dzierżawcza pochodząca od staropolskiego imienia „Częstoch”, a więc Częstochowa to wieś należąca do Częstocha.

Toponomastyka – tak nazywa się dział językoznawstwa badający nazwy terenowe – zinterpretowała ich większość, ale nie wszystkie – są nazwy o niejasnym znaczeniu, inne z kolei mogą wywodzić się od różnych słów. Jedno jest pewne: w odczytaniu nazw pomaga znajomość historii miejscowości czy innego obiektu terenowego, który nazywają – a więc sięgnięcie do przeszłości. A nazw terenowych jest u nas, na Pogórzu, wiele, bo teren tu mocno urozmaicony, ma wiele elementów, które choćby dla orientacji należało nazwać. Są więc nazwy wsi, przysiółków, rzek, wzgórz, ról, lasów, wąwozów zwanych paryjami czy leśnych polan. Niektóre są w użyciu (także odnotowane na mapach i używane w pismach urzędowych), niektóre pamiętają jeszcze tylko najstarsi mieszkańcy, niektóre zapewne, występujące w dalszej przeszłości, zanikły, o ile nie zostały zapisane. Wszystkie należałoby ocalić od zapomnienia, bo są częścią kultury naszych małych ojczyzn, są także częścią kultury ogólnonarodowej.

Pogórzańskie Stowarzyszenie Rozwoju zrzesza

5 gmin: **Gromnik** (Gromnik, Brzozowa, Chojnik, Golanka, Polichty, Rzepiennik Marciszewski, Siemiechów), **Ryglice** (Ryglice, Bistuszowa, Joniny, Kowalowa, Lubcza, Uniszowa, Wola Lubecka, Żalasowa), **Rzepiennik Strzyżewski** (Rzepiennik Strzyżewski, Kołkówka, Olszyny, Rzepiennik Biskupi, Rzepiennik Suchy, Turza), **Szerzyny** (Szerzyny, Czermna, Olpiny, Swożowa, Żurowa) i **Tuchów** (Tuchów, Buchcice, Burzyn, Dąbrówka Tuchowska, Jodłówka Tuchowska, Karwodrza, Lubaszowa, Łowczów, Meszna Opacka, Piotrkowice, Siedlińska, Trzemesna, Zabłędza) – łącznie 39 miejscowości (37 wsi i 2 miasta). Ich cechą charakterystyczną jest zabudowa rozproszona, a co za tym idzie - występowanie przysiółków.

Nazwa ‘przysiółek’ pochodzi od słowa ‘sioło’, czyli ‘wieś’, a konkretnie od wyrażenia przyimkowego ‘przy siole’, a więc oznacza coś, co znajduje się obok wsi, tuż przy niej. Według „Słownika geograficznego” przysiółek to „forma osiedla wiejskiego, składającego się z kilku lub kilkunastu zagrod. Ma

własną nazwę, ale nie stanowi odrębnej jednostki administracyjnej. Częsty na obszarze Polski, szczególnie w miejscach, gdzie poszerzano obszary uprawne przez wyrąb lasu”. Jest to więc grupa domostw położonych na obrzeżach właściwej wsi, należąca do niej administracyjnie. Jak powstawały przysiółki na Pogórzu? Wyjaśnia to przystępnie Marcin W. Solarz w pracy „W Paśmie Liwocza i Brzanki”. Odwołuje się do ustaleń historyków, którzy pierwotną akcję osadniczą w dolinie Białej Dunajcowej datują na XI – XIII wiek. Wsie w postaci niewielkich skupisk domostw powstawały w dolinach rzek i były otoczone nieregularnie wyznaczonymi polami. Taki układ gruntów nazwano niwowym nieregularnym. Nie przetrwały do naszych czasów, ponieważ tereny Pogórza zostały objęte kolonizacją na prawie niemieckim, której kulminacja przypadła na XIV wiek, szczególnie na czasy Kazimierza Wielkiego. Obszar przeznaczony pod wieś dzielono na pasy, zwane rolami, biegnące od rzeki lub drogi w kierunku pasa wzgórz na granicy wsi. Na takiej roli o wielkości

1 łana frankońskiego (około 24 ha) zasadzca osadzał jednego kmiecia. Często od nazwiska właściciela roli tworzone jej nazwę. Wiele z tych nazw przetrwało do dziś. W miarę zwiększania się liczby ludności na wsiach role dzielono, najpierw na pasy wzdłużne, a później także na poprzeczne. Na parcelach położonych pod pasem wzgórz, z dala od centrum wsi powstawały zabudowania pojedyncze, czyli zaczęło się tworzyć osadnictwo rozproszone, tak charakterystyczne dla całego Pogórza. Czasem na tych parcelach powstawały wsie, czego typowym przykładem są Swoszowa i Żurowa. Nazwy terenowe występujące na Pogórzu (np. Dąbrówka, Chojnik, Brzozowa, Olszyny, Jodłówka, Jodłowa, Zalasowa, a także Szynwałd i Rychwałd) świadczą o tym, iż tereny te były zalasione i w związku z tym pola uprawne uzyskiwano przez karczowanie lasów. Na wykarczowanych polanach, z dala od centrum wsi powstawały przysiółki. Kiedy w XVI wieku zaczęły powstawać folwarki szlacheckie, niektórych kmieci rugowano, przydzielając im tereny na obrzeżach wsi,

gdzie budowali domostwa. Także proces odwrotny – parcelacja folwarków w XIX w. – sprzyjał osadnictwu rozproszonemu i pogłębiał bezładną zabudowę wsi.

Na interesującym nas obszarze 5 gmin w przeważającej większości wsi przysiółki występują, nieraz, jak np. w Jodłówce Tuchowskiej, Olpinach, Siedliskach, Szerzynch, w znacznej liczbie. Jodłówka, rozrzucona po wzgórzach i paryjach, zajmująca prawie 1700 ha, ma ich ponad 20; Siedliska – ponad 40. Jedynie niektóre małe wsie, jak np. Łowczów (ok. 300 ha), ich nie mają (przynajmniej obecnie). Tu jednak uczynić trzeba istotne zastrzeżenie: po pierwsze - nazwy niektórych przysiółków występują na mapach turystycznych, jednakże mieszkańcy poszczególnych wsi, starsi zwłaszcza, podają nazwy takich, których na mapach nie ma; po drugie – zarówno na mapach, jak i w relacjach mieszkańców wśród nazw w obrębie wsi są – jak się wydaje - nie tylko nazwy przysiółków, ale także ról, np. Pawłuskówka w Siedliskach, Potępówka i Gniadkówka w Brzozowej. I jedno, i drugie jako stwo-

rzony w procesie rozwoju wsi mają walor historyczny. Niektóre urzędy gminne na swoich stronach internetowych podają nazwy przysiółków w poszczególnych wsiach występujących, co można by uznać za ich oficjalny rejestr. Czy to znaczy, że w tych rejestrach wymieniono wszystkie? Wątpię. Jako przykład rozbieżności niech posłuży wieś Siedliska w gminie Tuchów. Wieś duża, mająca około 1300 ha. Na mapach występuje 5 – 8 przysiółków. Autor pracy o Siedliskach („Siedliska Tuchowskie »między dawnymi i młodszymi laty«”), o. Stanisław Gruszka, z tej wsi się wywodzący, odnotował ich 49 ! Nie jest celem niniejszego szkicu ustalenie ich liczby (zanotowano ich we wszystkich branych tu pod uwagę wsiach ponad 300; niektóre nazwy, jak np. Podlesie, Nadole, Przymiarki, Zawodzie, występują w kilku wsiach), bo w wielu przypadkach jest to sprawa sporna, lecz raczej odczytanie tego, co mówią ich nazwy, a ponadto zasygnalizowanie pewnego problemu badawczego, który – być może – zostanie przez kogoś podjęty.

Najliczniejszą grupę

nazw przysiółków stanowią nazwy **topograficzne**, czyli takie, które odzwierciedlają cechy środowiska naturalnego w jakimś miejscu, np. ukształtowanie terenu, jego rodzaj, położenie w stosunku do obiektów fizjograficznych. Do tej grupy należą: Błonie, Borówka, Brzegi, Brzezcie, Brzezinki, Brzozówki, Bucze, Buczyna, Bukowina, Capia Góra, Czarny Lasek, Dąbie, Dąbrowy, Dąbrówka, Dąbry, Dębina, Dębrze, Długoborza, Dolce, Dolki, Dół, Dział, Działek, Działki, Dziół, Gaj, Glinki, Głębocka, Głęboczyzna, Głębuczka, Góra, Górka, Grabina, Granice Łowczowskie, Granice Brzozowskie, Grębie (Grombie), Kalina, Kamień, Kamionka, Karpaty, Kąty, Kliny, Koniec od Ryglie, Koniec od Szynwałdu, Koziodusza (Kozia Dusza), Księżę Podlesie, Lipie, Łęg, Łężna, Łysa Góra, Maliniec, Nadole, Na Dole, Nagórze, Na Górze, Podjurze, Podlas, Podlesie, Potok, Potoki, Przedmieście Dolne i Górne, Przydole, Przygórze, Przylasek, Przylaski, Pusta Góra, Pustki, Równia, Rystoki (Roztoki), Skala, Stawiska, Stawki, Surowiec, Środki, Świercze, Traw-

niki, Wapienica, Wideń, Wielkie Góry, Wierzcho-
wina, Wiklinówka, Wilcza
Góra, Zabiele, Zadworze,
Zadziele, Zagórze, Zagum-
nie, Zalesie, Załęcze, Za-
łęże, Zapaść, Zapole, Za-
potok, Zawoda, Zawodzie,
Zabna, Żory.

Druga grupa to nazwy **kulturowe**, a więc związane z działalnością człowieka na zamieszkałym przez niego terenie i jej wytworami. Należą tu: Babia Góra, Betlejem, Bochniarka, Bogata, Brudna, Budaki, Centrum, Chmielnik, Diabla Góra, Dwór, Elsowo, (Elsów, Elsówki - dawniej Kolonia Filaretów), Folwark, Furmaniec, Gadówka, Galla, Gęsia Szyja, Grabaczki, Gródek, Igle, Kąty, Kielec, Kobyli Dział, Koniowa, Kopaliny, Kopaniny, Kopelina, Krzemieniec, Lataniny, Lemierze, Łazy, Matąg, Miasteczko, Młynek, Morgi, Moszczenica, Mościska, Nowa Wieś, Nowy Świat, Okole, Osiek, Ostrzesze, Pasterniki, Piekło, Podkościele, Pogorzałki, Przymiarek, Przymiarki, Raj, Rudnik, Rzepiennik, Ryje, Sołtysostwo (Sołtystwo), Stara Wieś, Szkolnisko, Tracz, Winnica, Wola, Wolnice, Wolniki, Wołowa, Wygoda, Wymyśle, Wyrąb,

Wyręby, Zabaranie, Zagrody, Zamek, Zamośnik, Zarębki, Zbójnik.

Trzecia grupę stanowią nazwy **dzierżawcze**, pochodzące od imienia bądź nazwiska właściciela lub też założyciela przysiółka. Tu należą: Baboniówka, Berdechów, Borycze, Buchcickie, Chojnówka, Cieślówka, Danielówka, Dobrocin, Dybkówka, Dylówka, Gace, Gąsiorzy, Gilowa, Gniadkówka, Jasnochówka, Jurasówka, Kawiory, Kawówki, Kieroniówka, Koniówka, Kormanówka, Kowiory, Kozłówek, Kozłówki, Kudanówka, Kurasiówka, Lisiaki, Maślaki, Nosalowa, Osikówka, Padoly, Pańskie, Pańskie Pola, Pawloskówka, Pękale, Pieglów, Potępówka, Rajkówka, Ratówki, Rzepkówka, Sikorówka, Skrzydłowa, Sochówka, Stępkówka, Syrkówka, Szydlówek, Taborka, Teresin, Wajdówka, Wisze, Wojciechówka, Wołówka, Żabówka.

Czwartą grupę stanowią nazwy **patronimiczne**, inaczej odojcowskie, czyli pochodzące od imienia osoby płci męskiej, właściciela miejscowości, wskazujące jednocześnie, że właścicielami są również jej potomkowie. Tego typu nazw jest niewiele: Maśluchowice,

Radoszyce, Biedoszyce.

Na omawianym terenie występują dwie nazwy **służebne**, czyli takie, które wywodzą się od nazwy mieszkańców wykonujących jakiś zawód – Kowolówka, Krawiecka.

Jest także jedna nazwa **etniczna**, czyli pochodząca od nazwy plemiennej grupy ludzi w przysiółku mieszkającej – Cyganówka.

Są nazwy, które nie mieszczą się w jednej grupie, jak np. Kobyli Dział – jest to tyleż nazwa topograficzna, co i kulturowa.

Nie wszystkie nazwy przysiółków mają jasną etymologię. Tu można zaliczyć następujące: Budzyń, Chybie, Czarna Wieś, Foryny, Kaboć(dź), Krzyżowotki, Lenconoga, Liciąż, Pobaby, Pobórka, Pozna, Poz(ż)ory, Ptasznik, Serwonic, Skarpięta, Srokowiec, Uniki.

W niektórych nazwach wraz z upływem czasu zachodziły zmiany, które spowodowały, iż stały się one dziś „nieczytelne”. Przykładem może tu być nazwa jednego z przysiółków Jodłówki Tuchowskiej – Matłag. Na wielu mapach pojawiła się nazwa „Matlać”, a to zniekształcenie

świadczy właśnie o jej niezrozumieniu. Był to rejon zamieszkały kiedyś przez Żydów, którzy chodzili w chałatach - długich, czarnych płaszczach, zwanych „mantel long”, stąd po uproszczeniach - „Matłag”.

Czasem nazwa ma charakter wyraźnie metaforyczny. Przykładem jest pojawiająca się dwukrotnie nazwa „Piekło” (Karwodrza, Czermna). Przysiółki tak nazwane znajdują się w lasach, w jarach, gdzie kończy się prowadząca do nich droga.

Etymologia nazwy przysiółka Grabaczki (Jodłówka Tuchowska) prowadzi w dwu kierunkach: grabienie – czynność częsta w pracach rolniczych lub grzebanie (grabarz), co wskazywałoby na istnienie kiedyś w tym rejonie cmentarza.

W kilku wsiach pojawiają się przysiółki o nazwie Wola, a nawet jedna ze wsi (Wola Lubecka) ma to słowo w nazwie. Ponadto w tej wsi jest przysiółek o nazwie Wolniki. Te nazwy powstały w okresie, kiedy obowiązywała pańszczyzna. Świadczą o tym, że tam mieszkali ludzie od pańszczyzny zwolnieni.

Ciekawą nazwą jest El-

sowo, dawniej Kolonia Filaretów (Burzyn). Nazwa bardzo młoda – powstała w okresie dwudziestolecia międzywojennego, kiedy członkowie Filareckiego Związku Elsów, związani z Uniwersytetem Adama Mickiewicza w Poznaniu, kupili parcelę w Burzynie, aby tam pobudować osadę. Nazwa Związku utworzonego przez filozofa Wincentego Lutosławskiego wywodzi się od trzech słów greckich – „Eleuteroi laon soteris” („wolni ludów zbawcy”) lub od słów łacińskich – „Ecclesia lex suprema” („Kościół prawem najwyższym”). Wokół kilku domów i kaplicy powstało z biegiem czasu małe osiedle (kolonia).

Dzięki czemu przysiółki przetrwały? Przede wszystkim dzięki rozproszonemu zabudowie, której nie da się tak łatwo zmienić. Niebagatelną rolę odgrywają tu względy praktyczne, a konkretnie możliwość orientacji terenu, numeracja domów w warunkach zabudowy rozproszonej jest tylko administracyjnym zabiegiem, bo numery nie są, a nawet nie mogą być kolejne. Pozostaje operowanie nazwą przysiółka, która pełni tu

podobną rolę jak wśród ludzi o identycznych nazwiskach przydomki czy przezwiska. Tak więc przysiółki powstały w procesie historycznym formowania się wsi i służą do dziś.

Józef Kozioł



Tradycje ludowe,
zwyczaje i obrzędy
w cyklu rocznym
na Pogórzu Karpackim

Teren Pogórza Karpackiego, podobnie jak cała polska wieś, ze względu na nadal zachowane bogactwo tradycji ludowych staje się niezwykle atrakcyjnym obszarem dla odwiedzających je osób. Zachowało się tutaj wiele z dorocznych obrzędów, zwyczajów, które pod wpływem powszechnych, globalnych zmian społeczno-ekonomicznych ulegają modyfikacjom, tracą swą pierwotną funkcję lub zanikają. Te żywe nadal „skanseny” wsi polskiej są zamierającym dobrem narodowym. Obrzędy ludowe lepiej zostały zachowane w miejscowościach położonych na południowych stokach Pasma Brzanki. Spośród wszystkich opisywanych gmin na szczególną uwagę zasługują Szerzyny i Rzepiennik Strzyżewski oraz miejscowości Polichy i Brzozowa w gminie Gromnik, Lubcza i Kowalowa w gminie Ryglice, Siedliska, Karwodrza, Jodłówka Tuchowska w gminie Tuchów.

Do najbogatszych form obrzędowości zaliczyć należy zwyczaje i obrzędy do roczne, które wiążą się z cyklem wegetatywnym. Miały one na celu oddziaływanie magiczne, zmierzające do

zapewnienia zdrowia ludzkiego oraz pomyślności we wszystkich czynnościach gospodarskich, stanowiących podstawę utrzymania, szczególnie w rolnictwie i hodowli. Odnoszą się zwykle do przełomowych pór roku. Od początku ubiegłego stulecia zaczyna się powolne ubożenie form obrzędowych. Niemniej jednak jeszcze do czasu II wojny światowej wiele z nich było nadal bardzo żywych, a niektóre przetrwały do dziś.

Okres Bożego Narodzenia

Najwięcej zwyczajów agrarnych, hodowlanych i wróżebnych wiązało się z zimowym przesileniem dnia i nocy przypadającym na koniec grudnia. Obrzędy zimowe najbardziej różnorodnie i bogate w akcesoria zdobnicze pokrywają się ze świętami agrarno-zaduszkowymi, obchodzonymi przez Słowian jeszcze w czasach przedchrześcijańskich. Okres świąt Bożego Narodzenia przypada na czas od 24 grudnia do 6 stycznia, od Wigilii do święta Trzech Króli lub do 2 lutego święta Matki Boskiej Gromnicznej.

Jeszcze w niedalekiej

przeszłości Wigilia była tajemniczym dniem wróżb i przepowiedni mających wpływ na życie człowieka w nadchodzącym nowym roku. Tak więc w dniu tym nie wolno było niczego pożyczać, dawać ani sprzedawać, gdyż mogło to ujemnie odbić się na dobrobycie gospodarstwa.

Święta Bożego Narodzenia, zwane dawniej Godami lub Godnymi Świętami, do dziś obchodzone są tradycyjnie; trzeba je spędzać spokojnie. Ludzie jednali się i nadal tak czynią przy dzieleniu się opłatkiem. Należy być przecież w zgodzie w tak szczególnym czasie.

Zwyczaj przystrajania na święta drzewka istnieje od lat dwudziestych XX wieku. Zanim jednak zaczęto ustawiać choinki, zawieszano u tragarza wierzchołki drzewek iglastych, najczęściej czubkiem w dół, lub same gałązki jodłowe. Zwano je podłażnikami, podłażniczkami lub choinką. Możliwe, że po zwyczaju tym utrzymała się tradycja zawieszania u tragarza świata wykonanego z opłatków. Świat to ozdoba, którą robiły kobiety lub dzieci, najczęściej z opłatków. Dawało to w efekcie figurę

przestrzenną, bo „to było kuliste i harmonijne, okrągłe i tak się obracało, dlatego nazywało się świat”. Światy zawieszano zwykle u tragarza pośrodku izby. Zdobiono nimi niekiedy także choinki, wieszając na nich po kilka lub kilkanaście.

Natomiast pająki, zwane również szarakami, wykonywane na święta przez gospodynie lub dziewczęta, wisiały w izbie cały rok, aż do zniszczenia. Pająki powszechnie zdobiły domy wiejskie jeszcze w okresie międzywojennym.

Tradycyjnym elementem wystroju świątecznego izby był także snop zboża, który gospodarz wnosił do domu w dniu wigilijnym. Był to snop niemiłoczonej pszenicy stawiany w rogu izby. Na wigilijnym stole rozścielano słomę i przykrywano ją obrusem. Na obrusie kładziono garść siana, a na nim opłatek. Na to stawiano misy z wigilijnymi potrawami. Wieczrę, zwaną tutaj powszechnie obiadem wigilijnym, rozpoczynano, gdy na niebie pojawiała się pierwsza gwiazda. Do stołu zasiadali wszyscy domownicy, często zostawiając dodatkowe miejsce i nakrycie dla nie-

spodziewanego gościa, wędrowca, przechodnia lub Matki Boskiej. Dawniej dbano o to, aby była parzysta liczba uczestników obiadu, wiercono bowiem, że w przeciwnym razie ktoś z biesiadników umrze w nadchodzącym roku. Zdarzało się więc, że do wigilijnego stołu dopraszano samotną osobę z dalszej rodziny lub sąsiedztwa. Ciekawym i zapewne archaicznym zwyczajem było zapraszanie do wieczerzy wilka, co według interpretacji ludowej miało na celu jego obłaskawienie, aby nie czynił żadnych szkód wśród zwierząt domowych. Natomiast według badaczy zwyczaj ten jest śladem uczty zadusznej, jaką kiedyś była wigilia, a na którą zapraszano zmarłych domowników, w tym dusze potępione – wilkołaków. Wieczera zaczynała się od łamania opłatkiem i wzajemnych życzeń. Potem spożywano wigilijne potrawy. Podawano ich sześć lub dwanaście, chociaż niekiedy pięć lub siedem. Jako pierwsze jedzono kapustę z chlebem lub z grochem, a pozostałe potrawy spożywano w różnej kolejności. Był również żur z grzybami i ziemniakami,

groch i fasola maszczone olejem lnianym, kasza lub pierogi z suszonymi śliwami, kluski z makiem. W pierwszej połowie XX w. jedzono również gotowaną rzepę polewaną olejem czy pamulę z gotowanych śliwek zagęszczonych mąką, polewanych mlekiem i podawaną z ziemniakami; nazywano ją także garusem, a w Jodłówce Tuchowskiej - gesztonem. Gotowano również galas, gęsty kompot z suszonych owoców, głównie śliwek. Również dzisiejsza nawiązuje się do tradycyjnych potraw wigilijnych. Ten wigilijny posiłek, składający się ze wszystkiego, co się rodzi w polu, był od lat w wierzeniach ludności jakby zaklęciem urodzaju. To, co znalazło się na wigilijnym stole, uświęconym tradycją i odpowiednimi rekwizytami, powinno przynieść dobry plon. Wieczór wigilijny obfitował w szereg wróżb i działań magicznych dotyczących przyszłości w życiu i gospodarce. Powszechne na tym terenie było wierzenie, że jeśli w czasie wigilii opłatek znajdujący się na stole, na sianie, przykleił się do postawionej na nim misy z potrawą, wróżyło to dobry urodzaj na roślinę,

z której potrawę zrobiono. Prowadzono w tym czasie również wróżby miłosne. Przed wieczerzą lub po niej dziewczęta liczyły przyniesione do palenia w piecu porąbane drwa. Parzysta ich liczba przepowiadała rychłe zamążpójście. Panny wychodziły również przed dom i nasłuchiwały kierunku odgłosów szczekania psów. Podrzucały zboże ku tragarzom. Zaczepione o belki żdźbła mówiły o liczbie potencjalnych żalotników. Po wigilii ustawiano też buty jeden za drugim od stołu w kierunku drzwi. Czyj but pierwszy przekroczył próg, ten w następnym roku miał wyjść z tego domu, co wróżyło małżeństwo lub śmierć.

Zabiegi magiczne dokonywane w Wigilię Bożego Narodzenia zapewnić miały gospodarzom i gospodarstwu pomyślność. W tym dniu robiono powrósł, którymi w dniu św. Szczepana okręcano drzewka owocowe. Niektórzy gospodarze dokonywali tego zabiegu już w dniu Wigilii. Przed wigilią gospodarz lub gospodyni owijali drzewka owocowe słomą pszeniczną lub owsianą i obwiązywali je powrósłem. Siano ze stołu wigilijnego, razem

z resztkami z obiadu, wraz z opłatkiem białym lub kolorowym zanoszono po wieczerzy bydłu, „aby się dobrze chowało”.

Pierwszy dzień wielkich świąt spędzali wszyscy na ogół w gronie rodzinnym. Dopiero w drugim dniu wzajemnie się odwiedzali. Dla uszanowania pierwszego dnia Bożego Narodzenia powszechnie przestrzegano, by w tym dniu nie palić światła i nie gotować. W drugi dzień świąt, „na Szczepana”, chodzono po znajomych i składano wzajemne, świąteczne życzenia. Kawalerowie odwiedzali wtedy domy panien na wydaniu, sprawdzając, czy izba po świętach uprzątnięta, czy śmieci zostały już wymiecione. A dziewczęta, żeby nie zasłużyć na przyganę czy kpiny, już bardzo wcześnie rano przystępowały do sprzątania izby. Śmieci wysypywały przed dom, rozrzucając je na kształt kół i dokonując przy okazji wróżb matrymonialnych. Patrzyły mianowicie, jaki ptak do nich przyleci. Wrona wróżyła zamożnego męża, sroka średniaka, a wróbel biednego.

„Po drobsku”, czyli
niezwyczajny czas
kolędowania

Już nocą przed Nowym Rokiem kawalerowie przebrani dla niepoznania chodzili grupowo „na drobą”, zwłaszcza tam, gdzie mieszkały młode dziewczęta. Niektórzy z nich ubierali kozuchy włosiem do wierzchu. Przewiązywali się słomianymi powróslami. Na głowę wkładali przyciorek, czyli wymłócony snop żytni. Młodszy ubierali ładnie wyrobioną czapkę ze słomy z „chwostem” upiętym różnobarwnymi wstęgami. Dobijali się oni do domów „losickami”, wałąc w drzwi, stukając do okien i warcząc. Kręcąc się po domu, opowiadali rzeczywiste lub zmyślane przejścia i spostrzeżenia z nocnej wędrówki. Swoim uciechowym zachowaniem bawili rodziny gospodarzy. Po wygłoszeniu zwyczajowych życzeń następowały zwykle żartobliwe, niekiedy złośliwe formy, rymowane często, mające na celu otrzymanie kolędy, poczęstunku:

„Powiadali nam w potoku, żeście świnię bili w Nowym Roku -

Są dobre oznaki, bo są

na gnoju klaki.

Dajcie mi tu kwartę jagiel,

Wyprowadzę wam dziewczkę na dzieł.

W izbie mietła, w sieni mietła

Nigdyś izby nie zamieśla”.

Gdy gospodarz chętny młodzieńcom, gościnnie ich podejmował, wdzięczni życzyli na odchodnym:

„Na szczęście, na zdrowie, na ten Nowy Rócek

Żeby się urodziła pszenicka i grosek.

Pszenicka jak rękawicka, owiesek jak pański piesek,

Żytko jak korytko,

Ziemnioki jak buroki, buroki jak pnioki,

Korpiele jak ruskie korpiele ...”

Innym przedstawieniem kolędniczym był występ „Herodów”. Obrazował okrutne rządy króla, a kończył się sceną ścięcia Heroda przez Śmierć i porwaniem go przez Diabła. „Herody” byli to kawalerowie poprzebierani i ucharakteryzowani na króla Heroda, żołnierzy, diabła, anioła, śmierć, żyda, dzia-
da, pastucha, św. Józefa, trzech króli. Przebierańcom towarzyszyli muzy-

kanci, skrzypek i harmoni-
sta, a niekiedy także turoń
lub kobyłka. W czasie wy-
stępu wygłaszano wierszy-
ki, np. taki:

„Oj królu, królu już my
tam byli,

Wszystkie dziateczki
w pień my wycięli,

Nie trafiliśmy na Syna
Tego,

Co niebo, ziemia króle-
stwo Jego.

Oj, królu, królu rozkaz
wydany

I każdy dziełek zamor-
dowany,

W całym Betlejem pla-
cze i jęki,

Niewinne dziatki ponio-
sły męki...”

Widowisko z turoniem
lub z kobyłką było często
samodzielnym przedsta-
wieniem kolędniczym.
Przebierano się w dwo-
jaki sposób. Na turonia,
czyli rogatą maskarę
o łbie wykonanym z dREW-
na oklejonego futrem kró-
liczym lub baranim, z ru-
chomą, kłapiącą szczęką
lub na kobyłkę. Kobyłką
był kawaler trzymający na
długu, z drzewa wyrobio-
ny, wydłużony łeb koński.
Przebrany w strój krakow-
ski żartowniś, podobnie jak
turoń, wyprawiał przeróż-
ne figle, wywołując burze
śmiechu. Treścią występu

był targ Dziada z Żydem
o turonia lub kobyłkę, jej
rzekoma śmierć i przywra-
canie różnymi sposobami
do życia. Pod wpływem ta-
kich zabiegów, jak cudenie
wódka, dmuchanie, odpra-
wianie uroków wstawiała
i kontynuowała swoje har-
ce, skoki, podrygi, atako-
wanie domowników. Po-
nieważ często odwiedzano
domy panien na wydaniu,
występy kolędników nie-
rzadko kończyły się nie
tylko poczęstunkiem, ale
i zabawą z tańcami.

W codziennych ubio-
rach, przywdzianych zwy-
kle na lewą stronę, wystę-
powali kolędnicy z gwia-
zdą. Smarowali twarze
sadzą, pastą lub zakładali
maski z papieru. Chodzący
z gwiazdą śpiewali kolędy,
a na zakończenie wystę-
pu wypowiadali formułkę
z życzeniami. Jako kolędę
otrzymywali drobne pie-
niądze lub produkty żyw-
nościowe, jak świąteczne
ciasto, kielbasę czy jajka.

Chodzono również „po
nowym lecie”. W pierwszy
dzień Nowego Roku jedno
dziecko chodząc po miej-
scowości składało życzenia.
Dzieci się nie przebierały,
chodziły z koszykiem, za-
wsze witając się słowami:
„Niech będzie pochwalo-

ny Jezus Chrystus”. Również „szczodroki” chodziły z życzeniami rano w Nowy Rok. To zwykle biedniejsze dzieci szukające szczodrych ludzi. Są one chętnie obdarowywane. Szczodroki to również małe bochenki chleba specjalnie w tym celu pieczone w wigilię Nowego Roku.

W okresie świątecznym chodziły także grupy z szopką. Szopka taka, wykonana przez kołédników, zrobiona była z drewna i tektury, ze słomianym dachem i przedstawiała stajenkę betlejemską. Wewnątrz niej umieszczone były ruchome figurki z drewna, szmat i innych materiałów. W szopce, oświetlonej za pomocą świec, odgrywano scenę pokłonu trzech króli, wizyty pasterzy i innych postaci. Były też szopki z nieruchomymi figurkami. W tej formie zwyczaj przetrwał do dziś.

Zapusty, zapusty - „Jedna noga w grochu, a druga w kapuście”

Okres związany ze świętami Bożego Narodzenia przechodzi w dorocznym kalendarzu świąt ludowych w zapusty zwane też „zopustem” lub karnawałem.

Trwa on od Trzech Króli do Środy Popielcowej. W tym czasie organizowano zabawy i sąsiedzkie spotkania; niektórzy nazywali ten okres „zapustowaniem się”. Największe nasilenie zabaw i spotkań towarzyskich następowało w ostatnim tygodniu zapustów, zwanym ostatkami lub szalonymi dniami. Jest to czas od tłustego czwartku do północy wtorku poprzedzającego Środę Popielcową. Miały wtedy miejsce po domach wyskubki, czyli darcie pierza zakończone zabawami z tańcami i poczęstunkiem. W tłusty czwartek kobiety gromadziły się w karczmach, jedząc i pijąc. Za wszystko płaciły młode mężatki wkupujące się do bab. Od panien, które nie znalazły męża, wymuszały okup, co było dla tych ostatnich przykre i kosztowne, a kobiety zyskiwały przez to dodatkowe datki na świętowanie.

Święta Wielkanocne

Zwyczaje wiosenne wiążą się z przypadającymi na ten okres Świętami Wielkanocnymi. Mają one bogatą oprawę plastyczną wywodzącą się od przedchrześcijańskich świąt wio-

sennych. Najważniejszymi symbolami występującymi w zwyczajach praktykowanych w tym okresie, a wywodzącymi się jeszcze z czasów pogańskich, są: woda, ogień, zielona gałązka i jajko.

Święta Wielkanocne rozpoczyna Niedziela Palmowa, zwana rzadziej Kwietną. W tym dniu święci się palmy wykonywane na pamiątkę wjazdu Pana Jezusa do Jerozolimy. Często robi się „mietły”, nazywane również koziolkami. Jest to palma niewielkiej wysokości, zrobiona z gałązek wierzbowych iwy lub rokity, trzciny wodnej, przyciętych, uformowanych na kształt mietły. Między dolne gałązki wkładano małą butelkę z oliwą na pamiątkę namaszczenia oliwą ciała Chrystusa przed złożeniem do grobu. Tej poświęconej oliwy używano później, kiedy bolały oczy lub do smarowania wymion ocielonej krowy. Drugi spotykany typ palm to wiechy, czyli całe, rozgałęzione drzewka wierzbowe, mające metr i więcej wysokości. Wiechy, podobnie jak mietły, przystrajane były wstążkami i kwiatami z kolorowej bibuły. Poświęcona palma

była wykorzystywana przez gospodarzy dla ochrony domostw i dobytku. W drugi dzień świąt mocowano nad drzwiami domu wykonane z niej krzyżyki na błogosławieństwo Boże, niektórzy umieszczali je nad drzwiami obory, aby się bydło darzyło. Również, gdy pierwszy raz wypędzano krowy na pastwisko, smagano je gałązką palmową lub przeprowadzano przez postawiony na drodze krzyżyk palmowy.

Trzy dni poprzedzające Święta Wielkanocne, czyli Triduum Paschalne, mają w tradycji chrześcijańskiej bogatą obrzędowość.

W Wielki Czwartek o zmierzchu młodzi chłopcy, rozpalali judasza, czyli ogniska na okolicznych wzgórzach. Wrzucano do nich gałęzie i śmieci wymiatane z obejść. Od ognisk tych odpalali zrobione ze starych, gumowych butów, starych szmat „tłumoki” i płonące unosili do góry. Biegali z nimi po polach, wołając:

„Juda, Juda,

A jak bym go nie spolił,
to bym się go bał,

A jak go społę, to się nie
boję”.

lub

„Judasio bezbożniku,

sprzedaleś Pana Jezusa za trzydzieści srebrników”.

Dawniej przez cały post tylko „żur nie wyszedł z garczka”, przez co w Wielki Piątek wieszano żur, żeby go już nie było.

W tym dniu, wcześniej rano, przed wschodem słońca kąpano się lub obmywano w bieżącej wodzie, wierząc, że ma ona w Wielki Piątek uzdrawiającą moc. Traktowano to obmywanie jako środek zaradczy szczególnie przeciw wysypkom, wrzodom, krostom, natomiast przemywanie oczu wodą z krzyżujących się potoków zapewnić miało dobry wzrok.

Do dziś przetrwał, związany także z Wielkim Piątkiem i Sobotą, zwyczaj ustawiania przy Grobie Pańskim straży. Rolę tę pełnią mężczyźni ubrani w strażackie mundury, hełmy, z toporkami za pasem. Jedynie w Rzepienniku Marciszewskim straż przy grobie pełnią kosynierzy.

W Wielką Sobotę święci się wodę i ogień. Pod kościołem rozpalane jest ognisko z ciernistych gałązek głogu i tarniny; dawniej wrzucano jeszcze stare krzyże, obrazy święte. Węgielki wyciągnięte z tego ogniska wrzuca się do po-

święconej wody. Woda ta jest używana do poświęcania pól i domostw.

W tym dniu święci się również żywność („święconka”): wielkanocną babę, jajka, baranka, masło, kiełbasę, słoninę, wędzonkę, chrzan, sól. Wchodzące w skład święconki barwione jajka nazywane są pi-sankami. Do ich farbowania nadal na wsi używa się barwników naturalnych: zielonych pędów żyta, lupin cebuli, buraków. Po powrocie ze święcenia pokarmów obchodzono całe domostwo. Czynności tej dokonywali gospodarze, idąc ze wschodu na zachód, odmawiając przy tym modlitwę. Miało to zapewnić domowi błogosławieństwo i zachowanie od pożaru. Ze święconym obchodzono też stodoły, aby zawsze były pełne.

W Wielką Niedzielę o szóstej rano odbywa się rezurekcja z procesją, która trzy razy obchodzi kościoł. Poświęcone produkty spożywa się po porannej mszy św. Przygotowuje się supę świąteczną, specjalną potrawę zwaną „serwatka - święcone”. Powstaje ona poprzez wrzucanie do przegotowanej serwatki poświęconych produktów.

Dzieląc się jajkiem, składa się świąteczne życzenia. Dawniej odwiedzano po domach znajomych, czyli „chodzono na święcone jajko”. Skorupki z poświęconych jaj dawano kurom, aby dobrze się nosły, miały dużo jajek, lub wrzucano je do mrowiska, żeby było tyle jaj co w mrowisku mrówek. Wyrzucano je na kretowisko, żeby kury jaj nie roznosiły lub rzucano skorupki pod jabłonie, co miało powodować dobry urodzaj owoców.

W nocy z Wielkiej Niedzieli na Poniedziałek Wielkanocny, zwany też poniedziałkiem przewodnim, zaraz po północy rozpoczynali swe figle i wybryki despeciarze lub despetnicy. Chłopcy ci przebierali się w stroje dziadowskie, czyli podarte spodnie, kapoty, stare buty, słomiane kapelusze. Ich psoty polegały na smarowaniu szyb w oknach, malowaniu bram czarną farbą lub wapnem, wnoszeniu na kalenice i składaniu rozłożonych przedtem wozów czy innych narzędzi rolniczych, układaniu kamieni na drogach, sianiu sieczką koło domów. Pannom na wydaniu, zwłaszcza tym, które odrzucały konku-

ry, podrzucano pod drzwi lachmańce, czyli tłumoki ze szmat. Figle często miały związek z wodą, bo poniedziałek przewodził to także i lany poniedziałek. Despeciarze zaciągali więc maszyny rolnicze, wozy, bydło do strumienia, zalewali wodą mieszkania, wsypywali sieczkę do studni. Dawniej oblewano się wodą w pierwszy dowolny piękniejszy dzień wiosny. Najczęściej oblewano również pastucha przy pierwszym wypędzaniu bydła w pole, aby nigdy przez lato nie spał przy pasieniu. Zwyczaj „dyngusa”, rzadziej zwanego „śmigusem”, rozpowszechniony jest po dzień dzisiejszy, z tym, że jego formy nieco złagodniały, niekiedy nawet przyjmując postać symboliczną, np. zastępuje się polewanie wiadrami wody czy gnojówką kropieniem wodą lub wodą z perfumami. W ten dzień „chodzono po dyngusie”. W lany poniedziałek odbywało się również poświęcanie pól wodą święconą z węgielkami z Wielkiej Soboty. Święciło się wcześnie rano, a czynności tej dokonywali sami gospodarze. Zabierali oni ze sobą również krzyżyki zrobione

z poświęconej palmy.

Zielone Świątki

W Zielone Świątki uroczyście zdobiono domy gałązkami lipowymi, brzo-
zowymi, grabowymi, bu-
kowymi i świerkowymi. Kawalerowie przystrajali zieleniną kościoł, kaplice, a najchętniej domy, w których mieszkały panny, robiąc im nadzieję ożenku. Przystrajano przestrzenie między oknami i odrzwia, a także ściany wewnątrz domu. Niektórzy przystrajali gałązkami wejścia do stajni i wrota stodoły. W te święta gospodynie piekły bulki jak na Wielkanoc.

Boże Ciało

W Boże Ciało corocznie odbywają się procesje do ołtarzy przybranych kwiatami ogrodowymi, gałązkami brzo-
zowymi, li-
powymi, leszczyną. Ozdabia się domy przy drodze, którą przechodzi procesja, dekorując ją i wystawiając przystrojone święte obrazy. Uczestniczący w procesji mieszkańcy po jej zakończeniu zrywają z ołtarzy gałązki brzo-
zowe, które wbijają w rządki kapusty, co ma uchronić ją przed

plagą gąsienic. W związku z Bożym Ciałem utrzymała się także tradycja wicia wianków w oktawę tego święta i poświęcania ich w kościele. Zawieszano je dawniej nad drzwiami, koło okien lub w czasie burzy rzucano „pod blachę”. Okadzanie zielem z oktawnych wianków zabezpieczyć miało bydło przed czarownicami, pomagało w czasie jego choroby lub po wycieleniu. Wianek spleciony z niskopiennych ziół, święcony w oktawę Bożego Ciała, wkładano pod węgiel nowo budowanego domu. Także co roku kładło się zioła z wianka pod pierwsze zboże składane w stodole po żniwach; służyło też do okadzania krów wyprowadzanych pierwszy raz z wiosną na pole.

Zwyczaje letnie

Dzień przesilenia letniego, czyli św. Jana, w kalendarzu dorocznym nie odgrywa większej roli. Zachowała się stosunkowo niewielka ilość wierzeń i form obrzędowych z nim związanych. Młodzież w tym czasie zbierała się nad stawami i puszczała na wodę wianki, splatane z barwinku i przywrotnika,

z dwoma świecami. Stykające się na wodzie wianki panny i kawalera wróżyły im małżeństwo. Chodzono również po lasach i poszukiwano kwiatu paproci.

W okresie letnim odbywają się uroczystości związane ze zbiorem pło-
nów. Ma to miejsce w dniu Matki Boskiej Zielnej (15 sierpnia). „Na Zielną” gospodynie zanoszą do poświęcenia wiązanek zrobioną z kłosów zbóż i z ziół. Przewiązuje się je wstążką lub sznurkiem. Niektóre gospodynie wkładają do wiązek także jabłka, śliwy, również kwiaty ogrodowe i makówki. Dawniej zioła po poświęceniu używane były do okadzania bydła i do sporządzania wywarów dla chorych. Wywar z ziół dawano również krowom po wycieleniu.

Zwyczaj dożynek jest kontynuowany i to zarówno we wsiach, jak i gminach, a także na wyższych szczeblach administracyjnych. Wieńce dożynkowe splatane są z kłosów żyta, pszenicy, jęczmienia i owsa, a ponadto zdobione kwiatami i owocami. Mają różne kształty. Wykonują je gospodynie z poszczególnych wsi. Przywozi je do kościoła na wozach drabiniastych

młodzież w krakowskich strojach. Towarzyszy temu muzyka, strzelanie z batów i pieśni dożynkowe, jak np.:

„Otwierajcie wrota,
otwierajcie bramy,

Bo już z dożynkowym
wieńcem zajeżdżamy.

Chociaż jeszcze w polu
zboże pozostało,

Wieniec dożynkowy
święcić należało.

Da Pan Bóg pogody,
zboża pozbierają,

On ta wie najlepiej, że
mało nie mają”.

Poświęconewieńcewraz
z chlebem upieczonym
z nowej mąki i solą ofiaro-
wane są księdzu i przedsta-
wicielom lokalnych władz.
Potem odbywają się we wsi
zabawy z muzyką, tańcami,
poczęstunkiem.

Obchody jesienne

Zachowały się pewne zwyczaje i wierzenia świadczące o pradawnym pochodzeniu Święta Zmarłych. Spotkać się więc można z przekonaniem, że w dniach Wszystkich Świętych i w Dniu Zadusznym przychodzą na ziemię dusze zmarłych. Żywi odprawiają wtedy za nie modlitwy, dają na msze, na wypominki. Po I wojnie

pojawił się zwyczaj zapalania lampek, zanoszenia na groby kwiatów, jedliny i wieńców.

Zwyczajem dobrze dziś zachowanym jest obchodzenie „andrzejek” i przeprowadzanie w tym czasie wróżb matrymonialnych. Najbardziej rozpowszechniona była i nadal jest wróżba polegająca na laniu roztopionego wosku na wodę. Z kształtu jego cienia odczytywano wówczas przyszłość. Podobnie jak w Wigilię przedstawiano buty kolejno do progu. W ten dzień dziewczęta zrywały gałązki wiśniowe. Zakwitnięcie ich na Wigilię także zapowiadało rychłe zamążpójście. Począwszy od tego okresu, przez cztery tygodnie, do Bożego Narodzenia obowiązuje post. Jest to także termin bezwzględneho zakończenia prac polowych, przede wszystkim orki i siewu. Wierzy się bowiem, że w tym czasie „święta ziemia śpi, odpoczywa”.

Dokonując przeglądu dorocznych obrzędów, zauważamy, że na badanym terenie wiele spośród zwyczajów zanika. Wiele zachowań obrzędowych ma bardzo archaiczną proveniencję, a stopień

zniekształceń ich formy pozostaje znaczny. Warto z pewnością przechowywać pamięć o tradycjach, zwyczajach i obrzędach, jest to niezwykle cenne dziedzictwo - owe „korzenie”, o których zapomnieć nie można.

*Opracował
Piotr Firlej*



Legendy i rodania

Innym istotnym elementem łączącym przeszłość z teraźniejszością i przyszłością są legendy i podania – przejawy ludowej twórczości. Obydwa te gatunki mają wiele cech wspólnych. Ich autorzy pozostają nieznani; są raczej wytworami twórczości zbiorowej. Od powstania, i nieraz do dziś, funkcjonują w przekazie ustnym, a to oznacza, iż kolejni opowiadacze mogli pomijać pewne szczegóły lub dodawać je. Czasu ich powstania nie można dokładnie określić; czasem jedynie tylko w przybliżeniu, np. legenda o powstaniu nazwy rzeki Szwedka musiała powstać po potopie szwedzkim. Również czas akcji nie jest określony, jedynie ogólnikowo zarysowany (dawno, dawno temu...). U podstaw ich powstania leżało zapewne jakieś wydarzenie, jednakże po wiekach przekazu ustnego niemożliwe jest określenie, co jest w legendzie czy podaniu faktem, a co stanowi element naddany. Obydwa gatunki pełne są cudowności i niezwykłości, co jest charakterystyczne dla myślenia magicznego. Są jednak między nimi pewne różnice. Legendy oparte są na motywach chrześci-

jańskich. Ich bohaterami są nierzadko święci („Legenda o św. Aleksym”, legenda o świętym pustelniku spod Liwocza czy o św. Walentym z Lubczy), a tematem cuda (legenda o powstaniu kościoła na Lipiu i obrazie Matki Boskiej Tuchowskiej). Podanie zaś to opowiadanie osnute wokół osoby, miejsca czy zdarzenia, pozostającymi w jakimś związku z historią narodową, regionalną czy lokalną, czasem z konkretnymi miejscami (podania o powstaniu nazw: Buchcice, Lubaszowa, Żurowa, Słona Góra, o zamku na Kokoczy). W potocznym użyciu jednak podanie utożsamia się z legendą, obydwie te terminy traktuje się jako synonimy.

Wiele tego typu utworów przetrwało w pamięci zbiorowej, wiele zapewne uległo zapomnieniu, nie we wszystkich bowiem okresach naszych dziejów uznawano je za ważne. Ostatnio obserwuje się, na szczęście, wzrost zainteresowania regionalizmem, czyli małymi ojczyznami. Wiele szkół realizuje projekty, w ramach których uczniowie zapoznają się z lokalnymi tradycjami, w tym także z rodzimą twórczością. Kontaktują



Rzepiennickie „Droby”



P. Zuzanna Jarzębak prezentuje dwa „światy”

W czasie zapustów w Żurowej



TRADYCJE LUDOWE, ZWYCZAJE I OBRZĘDY



W czasie zapustów w Żurowej





Jak powstała latarnia w Jodłowie
Tuchowskiej



O przebiegłym diable



Jak św. Jan Nepomucen uratował
Szerzyny przed powodzią



Jak powstała nazwa Lubeza

O Lipowym Wzgórzu



O pustelniku z Liwocza





O Rysowanym Kamieniu



O powstaniu kościoła w Żurowej



O Gilowej Górze

się z ludźmi starszymi i zapisują ich opowiadania. Większość legend i podań tu zamieszczonych została zapisana przez uczniów szkół podstawowych z pięciu wchodzących w skład SRR gmin. Oto niektóre z nich:

Legenda o Lipowym Wzgórzu

Dawno, dawno temu Polskę pokrywały nieprzebyte puszcze pełne dzikich, niebezpiecznych zwierząt. Tak też było tu, gdzie obecnie znajduje się Tuchów. Całe życie skupiało się w dolinie rzeki Białej. Ludzie mieszkali w lepiankach krytych słomą. Polowali na tury, żubry i jelenie, zbierali grzyby, zioła i owoce leśne, łowili ryby w Białej i uprawiali ziemię. Ich przywódcą był Dziwon – dawny żołnierz armii Wiślan, który ze względu na podeszły wiek przeniósł się z garstką ludzi na spokojniejsze tereny. Osada, którą tu założył, tętniła życiem.

W tym samym czasie książę Mieszko zaczął jednoczyć plemiona, tworząc z nich jedno państwo – Polskę. Porzucił pogańskie zwyczaje i przyjął wiarę chrześcijańską, co

przypieczętował chrztem. Przekonywał też wszystkich swoich poddanych do nowego wyznania, krzewił chrześcijaństwo – pokój i na siłę. Ale jego zbrojna ręka nie wszędzie dotarła. W granicach dzisiejszego Tuchowa ludzie żyli sobie spokojnie. Wierzyli w swoich bogów, oddając im cześć. Ich gontyna znajdowała się na prawym brzegu rzeki Białej, na niewielkim wzgórzu. Porośnięte ono było wielkimi lipami, uznawanymi za święte, którym należało oddawać hołd tak jak bogom. Na szczycie wzgórza stał dumnie posąg Światowida o czterech twarzach i zastygniętych groźnych rysach, patrzący władczo na wszystkie cztery strony świata. Ludzie przychodzili tu codziennie wieczorami lub przy ważnych okazjach modlić się. W blasku pochodni wznosili modły, prosząc o opiekę i pomyślność w życiu, na łowach i przy zbieraniu plonów. Matki przynosiły tam swoje dzieci, ofiarując je Żywii – bogini życia, umierający prosili Morenę o dobrą śmierć, zaś na wiosnę błagali ludźle Pochwista i Peruna, by nie gniewali się na nich i nie niszczyli im plonów.

Tak ludzie żyli sobie spo-

kojnie w swej wierze, dopóki do ich osady nie przybył pewien wędrowiec. Był to Jan – misjonarz głoszący Ewangelię poganom. Przybywszy do osady, poprosił o gościnę. Zamierzał przekonać jej mieszkańców do nowej wiary. Kiedy ludzie udali się na miejsce modłów, poszedł z nimi. Modlitwę rozpoczął Dziwon:

- O najjaśniejszy Perunie, władco i panie wszystkich bogów i ludzi, ulituj się nad nami, twymi sługami, bądź nam dobrodziejem.

Ludzie klękali pokornie i nisko pochylali głowy. A Jan stał i w milczeniu przypatrywał się temu widowisku.

Nagle ciemne chmury, które krążyły po niebie od rana, „odezwały się”, zwiastując burzę. Głębokie pomruki rozchodziły się dalekim echem po całej okolicy, lunął rześisty deszcz i raz po raz trzaskały pioruny. Na twarzach ludzi malował się najpierw niepokój, a potem strach. Nie przerywali jednak modłów. Jan, który nie mógł już tego słuchać, zawołał:

- Ludzie, opamiętajcie się!
Do kogo się tu modlicie?
To, co teraz robicie, to tylko puste, bezsensowne gesty

i słowa ! Przecież istnieje tylko jeden Bóg, który jest wszechmocny i sprawiedliwy ! Porzućcie pogaństwo i bądźcie chrześcijanami! Bóg jest jeden!

Wszyscy zamarli z przerażenia, przerywając modły. Wtem – jakby na potwierdzenie słów Jana – ziemia się zatrzęsała, bo ogromny piorun dosięgnął swym płomieniem i zapalił drewniany posąg Światowida. Ogień trawił miejsce pogańskiego kultu, a ludzie w popłochu zaczęli uciekać do swoich domostw, szukając tam schronienia. Jan, spokojny, uklęknął i dziękował Bogu za pomoc w nawróceniu tych pogan. Teraz był prawie pewien, że zechcą poznać oblicze jednego Boga.

I nie mylił się. Po gontynie pogańskiej pozostały tylko zgłiszcza. Nowa wiara powoli zakorzeniała się w sercach ludzi mieszkających w dzisiejszym Tuchowie. Miejsce pogańskiego kultu uznali za niebezpieczne i omijali je z daleka. Nazwali je nawet Wzgórzem Lipiętym, czyli przeklętym z powodu lip, które zaczęto uważać za twór diabelski. Ale lipy ciągle rozrastały się... Upłynęło wiele lat. Osada powiększyła się. Przyjeżdżali tutaj

kupcy ze swoimi towarami. Ludzie żyli w szczęściu i spokoju, wyznając wiarę chrześcijańską. Nikt z młodych nie pamiętał już o obyczajach pogańskich, tylko mała grupka ludzi starszych oddawała cześć dawnym bogom, kryjąc się po lasach. Wszyscy zgodnie omijali Wzgórze Lipięte, na którym lipy były tak duże, że każdy pień trudno było objąć dwom ludziom.

Razu pewnego do osady dotarła wieść, że ma tu przyjechać obecny władca – Bolesław ze swoją drużyną. Mieszkańcy cieszyli się ogromnie i przygotowywali się do wizyty, przystrajając swoje domy zielenią. Król Bolesław zjechał pewnego dnia ze swoim orszakiem. A że dzień chylił się ku wieczorowi, postanowił zostać tu na nocleg. Na miejsce spoczynku wybrał Wzgórze Lipięte, chociaż mieszkańcy osady mu to gorąco odradzali. Skutek był taki, że władca rozgniewał się na nich, mówiąc, iż uważają się za chrześcijan, a wierzą w miejsca przekłete. Wjechał na swym białym koniu na miejsce, gdzie jeszcze kilkadziesiąt lat temu wznosili swoje modły poganie. Z zainteresowaniem przyglądał się ogromnym lipom i czuł,

że w tym wzgórzu jest coś wyjątkowego. Pomyślał, że ludzie może mieli rację, ostrzegając go przed noclegiem w tym miejscu. Mimo to kazał rozbić namioty i przygotować wieczerzę. Idąc na spoczynek, modlił się żarliwie do Boga, Jezusa i Jego Matki o dobrą noc i szczęśliwą dalszą podróż. Gdzieś koło północy zbudził króla silny szum wiatru; poczuł, że jakiś głos wewnętrzny mówi mu, iżby wyszedł z namiotu i udał się pod największą lipę. Gdy tam się znalazł, oślepiła go niezwykła jasność. Usłyszał ciepły, miły, pełen słodczy głos. Padł na kolana.

- Bolesławie, czy ufasz mi, matce Chrystusa, w którego wierzysz?

Odparł nieco drżącym głosem:

- O Pani, Matko moja, wierzę i ufam Tobie. Ty jesteś dla mnie podporą i opiekunką.

- Zbuduj więc na miejscu, w którym teraz stoisz, świątynię dla mnie. W niej będą się ludzie modlić przez całe wieki, rzesze pątników będą tu pielgrzymować, prosząc o łaski tutaj, na Lipowym Wzgórzu. Uczynisz to Bolesławie?

- Tak, zrobię to.

- Zostań w pokoju, módl

się i nawracaj pogan.

Światłość znikła, głos ucichł, wszystko było jak przedtem. Tylko Bolesław, mając świadomość tego, że Matka Boża się mu ukazała, trwał w modlitwie aż do rana. Znaleźli go tu jego poddani, którzy bardzo dziwili się temu. To spotkanie z Matką Bożą Bolesław postanowił zachować w tajemnicy. Natychmiast jednak rozkazał:

- Tutaj niech będzie zbudowane grodzisko, a w jego środku niech stanie świątynia ku czci Matki Bożej. Wszyscy będziemy przyjeżdżać modlić się do naszej Pani. A wzgórze niech się zowie „Lipie”.

Tak też się stało. Dziś po ponad dziesięciu wiekach do kościoła na „Lipiu” tłumnie ciągną czciciele Matki Boskiej Tuchowskiej, która spogląda spokojnym i pełnym miłości wzrokiem na wszystkich odwiedzających jej sanktuarium.

O powstaniu kościoła pw. św. Katarzyny w Ry- glicach

Gdy książę Władysław Łokietek zdążył na Węgry do króla węgierskiego, zatrzymał się na nocleg w Ryglicach. Podczas snu ukazała się mu św. Kata-

ryzna Aleksandryjska i poleciła, aby w miejscu, gdzie się zatrzymał, w widłach dwóch potoków górskich, zbudował świątynię. Jeśli spełni to życzenie, święta Katarzyna pomoże mu w walce o odzyskanie tronu krakowskiego i książę odniesie w niej zwycięstwo. Zadanie zbudowania kościoła powierzył książę dwom rycerzom, którzy mu wiernie służyli.

O cudownym obrazie św. Walentego z Lubczy

W XVII wieku Polska doznała ogromu nieszczęść i katastrof, a to z powodu potopu szwedzkiego i najazdów księcia Jerzego Rakoczego. Jego oddziały stosowały taktykę „spalonej ziemi”, zostawiając za sobą tylko ogień i popiół.

Bandy Rakoczego wracające spod Krakowa, skąd wyparte zostały przez polskie wojska, dokonały w 1657 roku wielu zniszczeń w Lubczy. Ich ofiarą padł między innymi drewniany kościółek pod wezwaniem św. Mikołaja, który podpalili. Tłumy ludzi zbiegły się z pobliskich i oddalonych o kilometry chatek. Każdy kochał kościół, był on najważniejszym miejscem we wsi,

a cudowny obraz św. Walentego, znajdujący się w świątyni, znany był w okolicy z wielu łask i cudów. Święty męczennik uzdrowił we wsi niejednego człowieka; z daleka przybywali doń pielgrzymi, wypraszając w lubeckim kościele cudowną pomoc, zwłaszcza w chorobach nerwowych.

Teraz, gdy ogień pożerał wszystko z ogromnym hukiem i trzaskiem, nikt nie miał odwagi, by wejść do palącego się kościoła i uratować cudowny obraz. Wszyscy, sparaliżowani z trwogi i oniemiałi, patrzyli z niemą zgrozą na przerażający widok. Nagle z tłumu wybiegł rosły mężczyzna o ogorzałej od słońca twarzy i zdecydowanie ruszył w stronę drzwi, by uratować obraz świętego. Stojąca nieopodal kobieta zaczęła krzyczeć:

- Głupiś, przecież spalisz się żywcem! Opamiętaj się, wróć, nie zostawiaj dzieci sierotami!!! A on jej odpowiedział:

- A ty, matka, nie pamiętasz, jak święty Walenty uzdrowił naszego najstarszego syna z wielkiej niemoicy? To rzekłszy, przysłonił twarz wielkimi, jak skiby ziemi dłońmi i wszedł do palącej się świątyni. Przy

głównym ołtarzu ogień buchał już z całej siły, dławiający dym zatykał oddech, rozżarzone głównie padały pod nogi. Parafianin dobiegł do cudownego wizerunku, niestety, jego ramy już się paliły. Nie zastanawiając się, wbiegł na małe, drewniane schodki i zaczął wyciągać obraz. Nic z tego, ani drgnął. Spróbował raz, drugi, ale na próżno... Westchnął więc ciężko:

- Skoro św. Walenty ma się spalić, niech i ja się spalę razem z nim.

Nagle oczom parafianina ukazała się święta postać. Biedaczysko myślał, że to jakieś zwidy przedśmiertne, ale obraz stał nadal, a twarz świętego zdawała się uśmiechać. Lubczanin nie zwlekał już dłużej, szybko wybiegł z kościoła, ścisnąc mocno drogocenny wizerunek. Miał szczęście, bo strop świątyni w tej samej chwili runął. Wszystko spłonęło doszczętnie, pozostało tylko smutne pogorzelsko.

Kościół odbudowano w 1683 roku, a cudowny obraz św. Walentego zajął w nim poczesne miejsce. Po dziś dzień święty biskup i męczennik związany jest z parafią w Lubczy. W obecnym kościele pw. Najświętszego Serca Pana

Jezusa znajduje się w bocznym ołtarzu jego obraz. Ale to nie ten z XVII wieku, tamten przetrwał kolejny pożar kościoła, a potem, pod koniec XIX wieku, zaginął. Nie wiadomo, co się z nim stało. Współczesny obraz wykonany został na podobieństwo poprzedniego i nadal jest otoczony kultem w całej okolicy.

O pustelniku z Liwocza

Kiedyś, dawno temu na Liwoczu znajdowała się pustelnia – maleńka chałupina wykuta w skale, z mosiężnym krzyżem nad wejściem. Mieszkał w niej świątobliwy mnich imieniem Roch. Ludzie szli do niego wyznać swoje grzechy, uspokoić sumienie, uzyskać poradę.

Pewnego razu odwiedziły go dwie siostry, którym zmarła matka. Starsza z sióstr miała wyrzuty sumienia, że nie opiekowała się nią tak, jak powinna. Chciała wyznać swoje grzechy i uspokoić sumienie. Na Liwoczu powitał ich starzec z długą brodą i różańcem w ręku. Starsza siostra uklękła przed pustelnikiem i, całując jego dłonie, ze łzami w oczach wyznała, że źle traktowała matkę. Była szczera i bar-

dzo żałowała tego, co zrobiła. Pustelnik, widząc jej skruchę, położył ręce na jej głowie i powiedział, iż duch matki jej wszystko wybacz. Drugą z sióstr zapytał, czy ona też chce wyznać grzechy. Ta jednak powiedziała, że tylko towarzyszy siostrze, a żadnych ciężkich grzechów nie ma. Wtedy starzec kazał starszej ze sióstr przynieść z za boru taki duży kamień, jaki tylko potrafi udźwignąć. Natomiast tej młodszej, ponieważ miała małe grzechy, kazał nazbierać małych kamieni. Kiedy to zrobiły, pustelnik kazał im odnieść kamienie z powrotem na miejsca, z których je wzięły. Starsza nie miała trudności, bo wiedziała dokładnie, skąd wzięła swój kamień. Młodsza zaś nie miała pojęcia, z jakich miejsc pozbierała swoje drobne kamyczki. Pustelnik uświadomił kobietom, że te kamienie to ich grzechy. Do starszej powiedział, że знаła swój grzech, żałowała za niego i chciała uspokoić swoje sumienie – a więc Bóg go jej odpuścił. Natomiast młodsza grzeszyła dużo, jednak nie żałowała za grzechy. Jest więc większą grzesznicą niż jej siostra i po śmierci czeka ją ją męki czyścicowe, jeśli

się nie poprawi. W pewnej chwili mnich zniknął, pozostał tylko krzyż, który zajaśniał dziwnym blaskiem. Wtedy młodsza siostra upadła na ziemię krzyżem i żałowała za swe grzechy. Kiedy usłyszała głos, że Pan jej wybacza, ponieważ wzbudziła w sobie żal za popełnione grzechy, wstała z ziemi. W pobliżu dostrzegła siostrę i jaśniejący nad pustelnią krzyż.

*Zapisał Damian Krok z SP
w Czeremnej*

Jak powstała latarnia w Jodłówce Tuchowskiej

Historia ta wydarzyła się dawno temu, gdy panią na Wawelu była młodsza córka Ludwika Węgierskiego – Jadwiga. Była to dobrotliwa pani, która upodobała sobie podkarpacki gród biecki, opiekując się tutajszymi kościołami, klasztorami, a nade wszystko poddanymi. Odwiedzała Biecz często, chcąc zobaczyć, jak działa szpital dla sierot i biedaków, którego była fundatorką. Zdarzało się, że i sama opatrywała rany, przynosząc ulgę cierpiącym. Tej jesieni postanowiła osobiście sprawdzić, jak czuje się starzec, któremu nie tak dawno namaściła

rany gojącymi maściami i obwiązała w czyste płótno.

Pewnego jesiennego poranka tylko z woźnicą i pacholkiem wyruszyła karetą z Krakowa i skierowała się na trakt węgierski. Sporo już ujechali, gdy niebo zasnuły czarne chmury, zaczął padać deszcz coraz gęstszy, a i wiatr zerwał się wielki. Karetą z wielkim trudem posuwała się naprzód błotnistym gościńcem. Zapadł zmrok. Woźnica z pacholkiem zapalili kaganek i przymocowali go do karety. Oświeślał drogę nikłym blaskiem. Niedługo jednak, bo zgasił go podmuch wiatru. Woźnica zboczył z drogi i wjechał w szczerze pole. Pacholek udał się na poszukiwanie ludzkich siedzib. Niedaleko pod lasem napotkał niewielką wioskę zwaną Nosalową. Jej mieszkańców królowa poprosiła o nocleg i jakąś strawę. Ci jednak, widząc skromną karetę i tylko dwóch ludzi ze służby, odmówili, twierdząc, że nie mają miejsca na nocleg ani nic do jedzenia. Rozgoryczyło to Jadwigę. Wzniosła oczy ku niebu, jakby oczekując Bożej sprawiedliwości. Nagle ogromna błyskawica rozdarła niebo i oślepiła wszystko, co żyło.

Potężny huk gromu przetoczył się po lesie, gwałtownie zadrżała ziemia i strzeliste jodły. Woźnica i pacholek z przerażeniem spostrzegli, że wieś nagle zapadła się pod ziemię, a w miejscu, gdzie stała, pojawił się niewielki pagórek. Stamtąd dochodziły jęki i zawodzenia potępio-nych ludzi. Pozostał jedynie kościół. Tymczasem nadbiegali gromadnie jacyś ludzie z pochodniami w rękach, zwabieni ogromnym hukiem i niezwykłą jasnością. Okazało się, że są mieszkańcami sąsiedniej wioski zwanej Jodłówką. Dowiedziawszy się, jaki to gość zabłądził, starszy wioski skłonił się nisko i powiedział:

- Najjaśniejsza królowo, choć chaty nasze skromne, nie odmawiaj i przyjmij naszą gošcinę. Nie godzi się opuszczać potrzebującego.

- Gošć w dom, Bóg w dom – kłaniając się nisko, dodali inni.

Po tych słowach królowa przyjęła zaproszenie, jako że strudzona była wielce. Przygotowano dla tak znamienitego gošcia największą izbę we wsi u wójta. Przyniesiono sztuki białego płótna i skóry zwierzęce do okrycia. Kobiety krzątały się i wkrótce

zastawiły stół gorącym mlekiem, krupami, mięsiwem i podplomykami. A dla przemoczonego woźnicy i pacholka znalazł się i miód grzany. I tak oto Jadwiga Andegaweńska gościła w chłopskiej chacie, przyjęta tam z nie mniejszą gošcinnością i serdecznością niż na magnackim dworze.

Nazajutrz rano wypogodziło się, deszcz przestał padać, pojawiło się słońce. Królowa postanowiła wyruszyć niezwłocznie do Biecza. Przed odjazdem jednak usiadła przed chatą na kamieniu i na wspomnienie wczorajszych wydarzeń rzewnie zapłakała, a jej łzy spływały po grudzie, jakby chciały zmyć grzech tamtych ludzi. Ziemia zebrała jej łzy i zachowała na zawsze w postaci małego źródełka, które nigdy nie wysycha. Źródełko to po dziś dzień zaopatruje mieszkańców Jodłówki w wodę. Potem powiodła wzrokiem po malowniczej okolicy – patrzyła na lasy jodłowe pełne zwierza, na wzgórza poprzecinane wązami i na górę kształtem przypominającą rybę brzanke. Potem wzrok swój przeniosła na krzątających się wokół swych skromnych gospodarstw ludzi prostych, pracowitych i tak

bardzo gościnnych. W od-
ruchu wdzięczności zdjęła
swoją płaszcz i podarowała
go wójtowi w podzięk za
pomoc i gościnę jej udzie-
loną. Serdecznie żegnali
mieszkańcy Jodłówki kró-
lową Jadwigę. Dzieci i wy-
rostki biegly jakiś czas za
karetą, aż królowa, zatrzy-
mawszy karete, przywołała
ich ku sobie:

- Wracajcie do domów,
pomarzniecie.

Nie chcieli jednak od-
stąpić karety, aż im Jadwiga
przysięgła, że wiosną znów
ich odwiedzi w drodze do
Biecza.

Na pamiątkę owego
zdarzenia mieszkańcy osa-
dy, na kamieniu, na którym
siedziała królowa, wzniesli
wysoką latarnię, aby ich
pani nigdy już nie zabłą-
dziła w drodze do Biecza.
Codziennie zapalali olej
skalny, by orszak królew-
ski nie pomylił kierunku.
Owa latarnia stoi do dziś
na wzgórzu w otoczeniu
wysokich i rozłożystych
lip, a u jej stóp znajduje się
źródelko, z którego po dziś
dzień mieszkańcy Jodłówki
pobierają wodę. I choć
od kilku wieków latarnia
nie wskazuje już drogi wę-
drowcom, a z jej szczytu
spogląda Chrystus fraso-
bliwy, przyciąga swą nie-
zwykłością, tajemniczością

i ciekawą historią turystów
przebywających w okolicy.

*Zapisał Przemysław Osika
z SP w Jodłówce Tuchow-
skiej*

O powstaniu kościoła w Gromniku

Okolo 1000 lat temu
kupcy bizantyjscy przy-
wieźli do Gromnika sa-
dzone winnej latorośli. Od
słowa „gronik”, oznaczają-
cego winogrono, pochodzi
nazwa wsi. Do dziś jeden
z przysiółków Gromnika
nazywa się Winnica. Tu po-
dobno uprawiano winorośl
i przechowywano beczki
z winem. Kiedy benedyk-
tyni tynieccy, do których
należał Gromnik, przystą-
pili tu do budowy kościo-
ła, zgromadzili budulec
właśnie na Winnicy. Nie
spodobało się to miejscow-
ym kmieciom, którzy
chcieli uprawiać winorośl,
i w wielkiej tajemnicy
w listopadową noc z 10
na 11 przewieźli materiał
do lasu na pobliską gór-
kę. Ślady takiej przewózki
musiały być wyraźne. Ale
ich nie było. Oto w nocy
sypnęło obficie śniegiem
i wszystkie ślady znikły.
Mieszkańcy stwierdzili, że
stało się to za przyczyną
św. Marcina, którego świę-

to przypada 11 listopada. Kościół powstał w nowym miejscu (stoi tam do dziś) i za patrona ma św. Marcina.

O powstaniu kościoła w Żurowej

W XIII wieku Tatarzy dwukrotnie pustoszyli południową Polskę. Napadali, by rabować i niszczyć. Ludzi mordowali lub brali w jasyr. Zostawiali za sobą spalone miasta i wsie.

Jeden z oddziałów tatarskich zatrzymał się w lesie koło Żurowej. Zbliżała się noc, więc najeźdźcy zabrali się do rozbijania obozowiska. Później usiedli przy ognisku, oglądali łupy i planowali dalsze grabieże. Obóz Tatarów obserwował jeden z mieszkańców Żurowej, który ukrył się przed nimi w lesie. W pewnym momencie zobaczył niezwykłą jasność, która ogarnęła obozowisko, i niewysoką niewiastę trzymającą w ręku krzyż. Nie wiedział, że stało się to w chwili, kiedy barbarzyńcy sztychli z Polaków i ich wiary. Niewiastą z krzyżem okazała się św. Małgorzata, która rozkazała im, aby opuścili tę ziemię. Oślupiały chłop zobaczył, jak Tatarzy szybko wsiedli na konie

i, zostawiwszy łupy, uciekli w popłochu. Natychmiast wrócił do wioski i opowiedział o całym zdarzeniu. Na pamiątkę tego ocalenia wdzięczni mieszkańcy wioski wybudowali najpierw mały, a potem większy kościół. Niestety, został on zniszczony przez wicher, która rozszałała się pewnego wieczoru. Wierni postanowili odbudować świątynię, jednak nie mogli dojść do porozumienia co do miejsca, w którym miała by ona stać. Większość chciała ją wybudować w innym miejscu, na wzniesieniu i tam też zgromadzono budulec. Mniejszość, która chciała, by nie zmieniano miejsca, nocą przeniosła tam drzewo. Przeciwnicy, którzy nie wiedzieli, jak to się stało, już nie protestowali. Wybudowano nowy kościół. A jego patronką jest oczywiście św. Małgorzata, która uratowała wieś przed Tatarami.

*Zapisała Angelika Hołda
z SP w Żurowej*

Jak powstał stary kościół w Cermnej

Dawno, dawno temu, kiedy spalił się stary kościółek w Cermnej, mieszkańcy postanowili wybu-

dować nowy. Wybrali miejsce i zwozili tam materiały budowlane. Kiedy już wystarczyło ich na świątynię i mieli brać się do budowy, pewnego dnia stwierdzili, że przeniosły się same na inny plac, na którym rósł kwitnący rumianek. Ludzie uwierzyli, że to miejsce wybrała sama Najświętsza Panienka i tu chce mieć świątynię. Wybudowali tam kościół, który stoi do dziś, a wokół niego nadal rosną kwiaty.

Zapisała Iwona Górka z SP w Cermnej

Jak św. Jan Nepomucen uratował Szerzyny przed powodzią

Szerzyny położone są w dorzeczu kilku strumyków, które w czasie intensywnych deszczów szybko wypełniają się wodą i stają się bardzo niebezpieczne - zalewają pobliskie łąki, pola uprawne, a nawet domostwa.

Dawno temu, kiedy Szerzyny należały do rodziny Kochanowskich, wydarzyła się ta historia.

Lato tego roku było mokre, dni pochmurne i ciężkie. Ludzie nie mogli pracować w polu, bo ciągle deszcze przeszkadzały. Woda

przybierała coraz bardziej, aż wreszcie wyszła z brzegów. Zmartwieni mieszkańcy nie wiedzieli, co zrobić. Byli zmęczeni ciągłym czuwaniem, aby woda nie zabrała ich dobytku. Wraz z właścicielem wsi modlili się przed obrazem wszystkich świętych. Pan Kochanowski pocieszał, jak mógł, swoich poddanych. Deszcz jednak nie ustawał. Pewnej nocy właściciel wsi miał dziwny sen: ktoś oznajmił mu, że mieszkańcy zostaną uratowani od powodzi wówczas, gdy przyjdzie tu św. Jan Nepomucen. Rano opowiedział o swoim śnie mieszkańcom, którzy wraz z nim zaczęli się gorliwie modlić w miejscowym kościele o przybycie świętego. O zmroku ktoś zauważył w wodzie, która zalała pobliskie łąki, jakąś postać leżącą na płyciźnie. Była to drewniana figurka, którą ksiądz natychmiast rozpoznał – była to figurka św. Jana Nepomucena. Wtedy pan Kochanowski zrozumiał swój dziwny sen. Figurka została osuszona i ustawiona w pobliżu miejsca znalezienia, nad rzeką Olszynką. I rzeczywiście: deszcze ustały, rzeki wróciły do swoich koryt, nie czyniąc już większych szkód. Świętemu szerzyniaczy wy-

budowali w podzięcie godną kapliczkę, w której stoi sobie do dziś i strzeże ich przed złem.

Zapisałi Dominika Sokulska i Wiktor Sokulski

O przebiegłym diable, który włóczy ludzi po lesie

Bardzo dawno temu w przydrożnej szerzyńskiej karczmie biesiadowało kilku chłopów po skończonej pracy na pańskim polu. Głośno spierali się z sobą, który z nich jest mądrzejszy. Później zaś dla rozrywki postanowili pograć w karty. Jeden z nich szpetnie kłął podczas gry. Zdenerwowany złą kartą, przywołał szatana. Ten zjawił się natychmiast i zaproponował układ:

- Który z was jest tak odważny, by zagrać ze mną w karty? Stawka jest wysoka. Kto mnie pokona, dostanie na własność tyle ziemi, ile zdoła objechać konno w ciągu jednej godziny. Jeżeli zaś przegra, odda mi swoją duszę.

Zgłosiło się kilku chętnych, lecz zostali ograni przez przybysza z piekieł. Całej grze przyglądał się mężczyzna imieniem Bartłomiej. Odważny, pełen

hartu ducha, nie chciał pozwolić, by ktoś taki, niebędący prawym i uczciwym, łatwo ograł jego kompanów i zdobył ich dusze. Walnął pięścią w stół i rzekł do biesa:

- Zebrałeś ogromne żniwo, więc pora, abyś stanął do gry ze mną.

Diabeł, będąc pewien swojej wygranej, zacierał ręce, zgodził się bardzo chętnie. Ale karta nie szła po jego myśli. Przegrał i musiał Bartłomiejowi przyznać wygraną. Zwycięzca czym prędzej wsiadł na konia i pospiesznie odjechał, chcąc objechać jak najwięcej ziemi. Diabeł dotrzymał słowa i bardzo niezadowolony odszedł i ukrył się w gęstym lesie na Podlesiu. Do dziś dnia nie może pogodzić się z przegraną i straszy napotkanych ludzi, drwi z nich, a tych małej wiary wodzi po chaszczech i gęstwinach, nie chcąc ich wypuścić poza nie. Tylko odważni i sprawiedliwi nie robią sobie nic z jego sztuczek.

Zapisała Joanna Dudek z Szerzyn

O zapadłej karczmie w Rzepienniku Biskupim

Koło drogi z Olszyn do

Rzepiennika stała po prawej stronie drogi karczma. W tym miejscu jest równina i mały laszek. Niedaleko od tej karczmy przebiegał trakt – „droga królewska” – który wiódł z Krakowa przez Jodłówkę, koło kościoła św. Jana w Rzepieniku, i dalej przez Biecz na Węgry.

Tereny te pokrywały niegdyś bory, w których ukrywali się złodzieje, napadający na kupców. Często pili w karczmie, częstując zebranych tam okolicznych chłopów, hulali do upadłego. Co wieczór gwarno było w karczmie. Schodzili się gospodarze, gawędzili, pocieszali się wzajemnie w swojej niedoli i wszystkie swoje troski topili w wódce.

Działo się to około 200 lat temu. Pewnego zimowego, wietrznego dnia, już pod wieczór wszedł do karczmy unurzany w śniegu woźnica z batem w rękę. Zwrócił się do hulających z prośbą, by pomogli mu wypchnąć sanie, które ugrzęzły w zaspie. A spieszy się, bo wiezie księdza do chorego, który odchodzi z tego padole. Podchmieleni biesiadnicy, śmiejąc się i dowcipkując, podszczypując piszczące dziewczki, ruszyli w tany.

Tylko dwóch gospodarzy – Jakub z Taborki i Walenty z Przylasek – nałożyli baranice na głowy i wyszli z karczmy cichaczem, by nie narazić się na drwiny pozostałych. Kiedy ranek zaświtał, chory wyzionął ducha, a karczma zapadła się wraz z hulającymi w niej i jej właścicielem – Żydem.

Do dziś miejscowi potrafią wskazać miejsce, gdzie znajdowała się zapadła karczma, jest w tym miejscu wgłębienie i bajorko, które nie wysycha. Tam też wieczorem latały światełka i słychać było granie.

Legenda o Kokoczy

Przed wiekami na górze Kokocz, na granicy Lubczy i Woli Lubeckiej, znajdował się warowny zamek z siedmioma basztami, otoczony grubymi, kamiennymi murami. Widoczny był z daleka na całą okolicę.

W zamku tym mieszkała piękna Ryksa z siostrami. Dziewczyna była tak urodziwa, że każdy młodzieniec, który chociaż raz ją zobaczył, nie przestawał o niej myśleć i wzdychać nocami. Miała błękitne, głębokie oczy, a piękne, jasne włosy opadały miękko na delikatną, uśmiechnię-

tą twarzyczkę. Ryksę darzyli wszyscy szacunkiem i zaufaniem, gdyż nikt nie wyszedł z jej zamku z pustymi rękami, bez pomocy i dobrej rady.

Pewnego dnia do wrót na Kokoczy zapukał rycerz Rytygier z Pilzna. Polował w okolicy i postanowił zobaczyć urodziwą dziewczę, o której nawet w jego rodzinnym mieście opowiadano. Gdy gościnnie zaproszono rycerza do zamkowych komnat, ugoszczono mięsem i winem, przed obliczem przybyła stanęła Ryksa. Rytygierowi mocno serce zabiło, jak urzeczony wpatrywał się w dziewczynę; była jeszcze piękniejsza niż się spodziewał. Po prostu - jakby boska istota, zjawiająca się prześlicznie. Upadł jak nieprzytomny na kolana i poprosił ją o rękę.

Ale dziewczyna też wiele słyszała o rycerzu i to nie zbyt pochlebnych opinii. Mówiono bowiem, że był to człowiek chciwy, zaważający i bardzo mściwy. Nie chciała zostać żoną takiego człowieka, nie zamierzała też opuszczać rodzinnej siedziby na Kokoczy, gdzie dobrze jej było z siostrami i skąd rozciągały się piękne, malownicze widoki na całą okolicę. Stanowczo, ale grzecznie odmówiła. Wtedy

Rytygier wpadł we wściekłość, złe oczy nabiegły mu krwią. Uderzył mocno pięścią w stół, aż poprzewracały się puchary z winem. Krzyknął przerażającym głosem: „Jeszcze zobaczymy! Jeśli się nie zgodzisz, wezmę cię siłą, a twój zamek spalę.”

Na mieszkańców padł okropny strach. Wiedzano, że ten okrutny człowiek nie żartuje. Za kilka dni pod Kokoczą pojawił się zbrojny oddział na czele z Rytygiere. Zamek został otoczony ze wszystkich stron i chociaż obrońcy walczyli dzielnie, nie mieli szans na odparcie wroga. Wszyscy uciekali w popłochu, skakali z murów, woląc śmierć niż okrutne męki z rąk Rytygiera. Ryksa z siostrami stała przy oknie w jednej z komnat. Pozornie wyglądała na spokojną, jedynie blada twarz i błyszczące oczy zdradzały zamęt w jej duszy. Cóż począć? Za chwilę będzie tutaj ten okrutny rycerz. Co robić? Nagle przypomniała sobie o ogromnych, mosiężnych drzwiach w zamkowych podziemiach. Starsi dworzanie opowiadali kiedyś, że prowadzą one do podziemnego tunelu łączącego Kokocz z Joninami. Szybko zawołała siostry i pośpiesznie zaczęły schodzić po kamiennych stop-

niach w dół. Już dobiegły do podziemnego tunelu, gdzie nie było już słychać ochrypłych głosów walczących, już zatrzasnęły za sobą wrota, gdy nagle drogę zatarasował im ogromny głaz. To zamek zaczynał drzeć w posadach, walił się. Dziewczęta nie mogły iść dalej ani wrócić. Zostały tam pod ziemią na wieki. Nie ma już zamku na Kokoczy, pozostały po nim tylko czerwone skalki na szczycie góry, trochę kamieni. Pozostał też głęboki otwór, który zawsze intrygował okolicznych mieszkańców. Podobno wrzucali tam kamienie, wkładali długie na kilkanaście metrów żerdzie, ale nie usłyszeli uderzenia o dno. Czyżby to było owo tajemne wejście do podziemi zamku?

O Rysowanym Kamieniu

Między Czermną a Jodłową znajduje się Rysowany Kamień. Skąd wzięła się ta nazwa?

Jeden chłop z Czermej poszedł na jarmark do Jodłowej sprzedać krowę. Za pieniądze, które za nią dostał, kupił kielbasy i chleba. W drodze powrotnej usiadł na wielkim kamieniu, aby odpocząć. Był to piątek. Wtedy przystąpił do niego diabeł i skusił go do zje-

dzenia kielbasy. Gdy głodny chłop to uczynił, diabeł przemienił się w wilka i chciał go pożreć. Chłop zaczął się bronić łańcuchem, na którym prowadził na jarmark krowę. Do dzisiejszego dnia na tym kamieniu widać ślady łańcucha, pazurów wilka oraz miejsce, na którym siedział kuszony przez diabła chłop.

*Zapisała Anna Godniak
z SP w Czermej*

Jak powstała nazwa „Buchcice”

Dawno, dawno temu, za panowania króla Władysława Jagiełły we wsi Meszna Szlachecka wydarzył się cud. A było to tak: pewnego dnia przybył do wsi chłop z żoną. Chłop nazywał się Bogdan Cis, a jego żona miała na imię Ewa. Mieli jedno zmartwienie: nie mogli mieć dzieci. Ale pewnego ranka, gdy jak zawsze Bogdan miał wyjść do pracy w polu, pod drzwiami zobaczył jakieś zawiniątko. Podniósł je i zobaczył w nim dziecko – małą dziewczynkę. Wielką radością nappełnił się dom Cisów. Dziewczynkę ochrzczono imieniem Buchta, ale mówili na nią Buchcia. Lata

mijały, Buchcia rosła, Bogdan i Ewa starzeli się. Kiedy Buchcia miała 20 lat, jej ojciec i matka zginęli w pożarze domu. Dziewczyna została więc sama. Sierota była piękna i zgrabna. Potrafiła daleko skakać i szybko biegać. Bała się tylko wody. Trzy lata po śmierci Bogdana i Ewy Buchcia zakochała się w szlachcicu o imieniu Wojciech. Ale Wojciech miał już swoją narzeczoną – Marię. Dziewczyna cierpiała. Z początku próbowała zwrócić na siebie jego uwagę, ale on jej nie dostrzegał, bo była chłopką. Wojciech i Maria pobrali się i mieli jedno dziecko – Eryka. Minęło 6 lat. Gdy pewnego wieczora Buchcia szła na cmentarz na grób swoich przybranych rodziców, usłyszała krzyki. Dochodziły z nad rzeki. Buchta niepewnym krokiem weszła na most i zobaczyła w wodzie tonącego chłopca. To był Eryk, syn Wojciecha. Bez namysłu skoczyła do wody i złapała go. Ale woda była rwąca. Kiedy nurt zaczął ją porywać, zdołała jeszcze wyrzucić chłopca na brzeg, ale ją samą prąd porwał. Utonęła. Jedni uważali, że przeżycie Eryka to cud, a drudzy – że to zasługa Buchci. Do grona tych

drugich należał Wojciech z żoną. Gdy Eryk był już dorosły i objął w posiadanie wieś, postanowił zmienić jej nazwę. I tak Meszna Szlachecka stała się Buchcicami.

Zapisała Katarzyna Samelzon z SP w Buchcicach

Lubosz

Dawno temu południową Polskę porastały ogromne knieje, bogate w grubego zwierz. Górskie potoki, pełne ryb, przecinały niczym wstęgi góryste tereny. Toteż okolice te przyciągały myśliwych, wojów, rycerzy i książęta na łowy. Rycerz Spicymir upodobał sobie te strony i często wraz ze swoją świtą tu polował. Towarzyszył mu rycerz imieniem Lubosz, który był szczególnie szlachetny, odważny i męski.

Pewnego pięknego poranka Lubosz wraz ze swym giermkim i oddziałem udali się na polowanie. Zawędrowali za grubym zwierzem w okolice rwącej rzeki Białej, w której czystym nurcie srebrzyły się szczupaki, pstrągi i okonie. Zadowoleni z łowów, postanowili tu odpocząć. Gdy skończyli posiłek, zerwał

się gwałtowny, porywisty wiatr. Ciemne chmury zasłoniły słońce, a błyskawice rozdzierały niebo. Rozpętała się burza. Spłoszone konie rozbiegły się w różne strony. Po burzy rycerstwo ruszyło na ich poszukiwanie. Wśród gęstych zarośli niełatwo było sprostać temu zadaniu. Błądząc tak po lesie, Lubosz wyszedł na dużą polanę i zobaczył niedaleko wzgórze z pięknym zamkiem. Postanowił iść tam i zapytać o drogę. Zbliżył się do zamku, który otaczała fosa. Opuszczono zwodzony most i rycerz został doprowadzony przed oblicze księcia.

- Kim jesteś – zapytał książę.

- Jestem Lubosz, rycerz Spicymira.

- Co robisz w tej okolicy?

- Byłem na polowaniu. W czasie burzy pogubiły się moje konie. Nie mogę ich odnaleźć.

Niespodziewanie do komnaty weszła dostojnym krokiem piękna białogłowa. Lubosz oniemiał z wrażenia, zachwycony jej urodą i wdziękiem.

- Nie możesz znaleźć swych koni, rycerzu? – zapytała.

- To wielki trud odnaleźć zwierzęta pośród gąszczy,

jaśnie pani – odparł Lubosz, kłaniając się nisko.

- Skro tak ci zależy na tych zwierzętach, pomogę ci, bo widzę, że masz dobre serce. Jeżeli kochasz zwierzęta, na pewno kochasz też ludzi.

Udali się na zamkowy krużganek. Księżniczka spojrzała na pobliskie doliny i szepnęła:

- Konie, konie, konie...

Po chwili usłyszeli tętent koni, które galopowały na wzgórze. Lubosz zrozumiał wtedy, że ta piękność, która przed nim stoi, jest jego przeznaczeniem. Przyklęknął i poprosił ją o rękę. Wkrótce odbył się ślub i huczne wesele. Od tej pory bezimienną osadę nazwano Luboszowa. Po latach nazwę zmieniono na Lubaszowa, ale i tak do tej pory miejscowi często używają nazwy Luboszowa.

*Zapisał Bartłomiej Hala-
garda z SP w Lubaszowej*

Jak powstała nazwa „Ołpiny”

Pewien zakonnik przeglądał w wielkiej księdze informacje o miejscowościach należących do zakonu, ponieważ miał do każdej pójść i nadać jej nazwę. Zmęczony się już czytaniem,

oczy kleiły się mu do snu, a nie przeglądał jeszcze nawet połowy księgi. Pomysłał:

- Dziś przeczytam jeszcze o jednej wsi, resztę jutro.

Ale 10 stron informacji o tej wsi bardzo go zaciekawiały i spać się mu nawet odechciało. Czytał i czytał o mieszkańcach tej wsi i nie mógł się nadziwić, że co trzeci jej mieszkaniec nosi imię rozpoczynające się na literę O, wielu mieszkańców nosi te same nazwiska, charakterystyczne tylko dla tej wsi. Wybrał się więc najpierw do tej miejscowości. Tu przekonał się, że jest dużo imion takich, jak Olaf. Postanowił sobie w duchu, że nazwa tej wsi będzie się zaczynała na „Ol”.

- Ta wieś będzie się nazywała „Olbino” – ogłosił mieszkańcom.

Z biegiem lat w nazwie zachodziły zmiany – „Ol-pino”, „Ol-pino”, „Ol-pina”, „Ol-pin” i wreszcie „Ol-piny”.

*Zapisała Iwona Ryndak
z SP w Olpinach*

Jak powstała nazwa „Żurowa”

Dawno temu, kiedy na miejscu dzisiejszej Żuro-

wej było tylko kilka chałup, miejscowość nazwy nie miała. Zamieszkiwali ją bednarze, wyrabiali beczki i sprzedawali je na jarmarkach w okolicznych miejscowościach.

Pewnego razu do domu jednego z bednarzy przyszedł głodny i zmęczony ubogi wędrowiec i poprosił o jedzenie. Gospodyni poczęstowała go miską żuru ze skwarkami i grzybami. Ta potrawa bardzo mu smakowała. Kiedy pożegnał gościnnych gospodarzy, potwarzał sobie przez drogę: „żur, żur, żur...”, żeby nie zapomnieć nazwy potrawy. Jednak kiedy przechodził przez strumyk, wpadła mu do wody czapka, a usiłując ją z niej wydobyć, zapomniał tę nazwę. Przechodzące obok kobiety zauważyły, że jakiś człowiek czegoś w strumyku szuka, i postanowiły mu pomóc. Weszły do potoku i przez jakiś czas szukały. Bardzo zmęciły wodę i nic nie znalazły. W pewnej chwili jedna z nich powiedziała:

- Nic już nie znajdziemy, bo woda mętna jak żur.

Wędrowiec, usłyszawszy to, bardzo się ucieszył i radośnie wrzasnął:

- Żur, żur, żur... To jest właśnie to, czego szukałem!

I opowiedział im, dlaczego chciał tę nazwę zapamiętać. Wtedy jedna z kobiet powiedziała, że skoro gospodynie z tej osady nad potokiem taki smaczny żur gotują, to niech ta wieś nazywa się Żurowa.

I tak już zostało do dziś.

*Zapisała Beata Bąk z SP
w Żurowej*

Skąd się wzięła nazwa „Słona Góra”

Działo się to przed wiekami, kiedy teren dzisiejszych Piotrkowic porastała niezmierzona puszcza. Drzewa w niej były prastare, grube i olbrzymie. Zamieszkiwała ją różnoraka zwierzyna: niedźwiedzie i tury, dziki i jelenie, sarny i wilki, lisy i zające, często też na mokradłach dostrzec można było łosie. Owo bogactwo zwierzyny łownej przyciągało w te okolice wielu znakomych myśliwych.

Pewnego dnia przybył na łowy do puszczy książę krakowski Leszek z drużyną. Zobaczyli ogromnego jelenia i puścili się zanim w pogoń. W ogromnej puszczy pogubili się. Nagle książę zorientował się, że jest sam w leśnym gąszczu.

Uważnie nasłuchiwał. Niesłyszalnie, odgłosy polowania ginęły gdzieś w dali. Postanowił wrócić do obozu. Wiele godzin błakał się po lesie, a kiedy zapadł zmrok, zmęczony i głodny ułożył się do snu pod rozłożystym dębem i zasnął kamiennym snem. Tymczasem jego towarzysze powrócili do obozu z upolowaną zwierzyną, a kiedy zobaczyli, że nie ma księcia, rozpoczęli poszukiwania. Bezskutecznie.

Następnego dnia, ledwo zaczęło świtać, zbudził się książę. Był niewyspany, od snu na ziemi bolały go wszystkie kości. Mimo to szybko podniósł się i ruszył na poszukiwanie swoich towarzyszy i obozu. Gdy słońce było już wysoko nad drzewami, poczuł, iż głód dokucza mu okrutnie. Zaczął pożywiać się jagodami, a gdy nie zaspokoił głodu, upolował zającą, oparał go i upiekł. Potem dalej wędrował przez gąszcz i nasłuchiwał, czy nie słychać gdzieś głosów jego wojów. Słońce zniknęło już za drzewami, kiedy wyszedł na małą polanę. Tu postanowił spędzić kolejną noc. Ustrzelił dwie kuropatwy i upiekł na małym ognisku. Nazbierał mchu, miękkich gałęzi i wymościł sobie wygodne posłanie.

Potem, leżąc na nim, długo wpatrywał się w niebo i rozmyślał nad tym, co mu się przytrafiło. Obserwował rozgwieżdżone niebo i księżyc w pełni. Tęsknił do swojego zamku, żony i dzieci, do swojej drużyny i dworaków. Zastanawiał się, czy ktoś go szuka. Wreszcie, zmęczony całodzienną wędrówką i swoimi myślami, zasnął. W środku nocy zbudziło go przerażliwe rzenie konia i wycie wilków. Przerażony, dorzucił drew do ognia, usiadł koło ogniska i tak doczekał świtu. W zaroślach otaczających polanę odnalazł na wpół zjedzonego rumaka. Ze zgrozą uświadomił sobie, że teraz przyjdzie mu przedzierać się przez puszcę pieszo. Nie rozmyślając więcej, wyruszył w drogę. Był wczesny ranek, kiedy książę, poczuwszy dotkliwy głód, zaczął posilać się jagodami. Nagle nieopodal rozległ się trzask łamanych gałęzi i ciężki tupot. Z gęstwiny na wprost księcia wyskoczyła ogromna locha. Książę dopadł najbliższego drzewa i zaczął się nań wdrapywać. Niestety, dzik zdołał chwycić go za łydkę i boleśnie ugryźć. Leszek wyrwał nogę i z trudem wdrapał się na najniższy konar, a dzik z wściekło-

ścią atakował drzewo. Prawie cały dzień przesiedział książę na drzewie. Wreszcie późnym popołudniem, kiedy dzik się oddalił, zszedł. Chciał iść dalej, ale nie miał sił. Był głodny, obolały i bardzo zmęczony. Rozejrzał się dookoła. Zauważył, że znajduje się na szczycie wzgórza, a nieopodal z małej szczeliny bije krystaliczne źródło. Poszedł do niego, aby się napić i obmyć zaskorupiałą krew z nogi. Poczuł, że woda ma dziwny, słony smak, a rana nią obmyta szybko się zabiłżnia. Po chwili poczuł, że wracają mu siły. Odzyskał też wiarę, że uda mu się odnaleźć towarzyszy. Rażnym krokiem wdrapał się na szczyt wzniesienia, na którym znajdowała się olbrzymia łyśa polana. Na polanie przy ogromnym ognisku zobaczył swoich drużynników, załamanych długimi i bezowocnymi jego poszukiwaniami. Zdumienie i radość były ogromne. Długo ściskali swojego księcia i wznosili okrzyki na cześć jego odwagi i wytrwałości. Na ogromnym ruszcie upiekli upolowanego dzika i ucztowali całą noc. Książę opowiadał im o swoich przeżyciach i obiecał pokazać cudowne źródło.

Niestety, nazajutrz nie odnalazł już cudownego źródła, jednakże roztaczający się ze szczytu góry widok zachwycił go tak bardzo, że postanowił założyć tu osadę. Na pamiątkę tego, co mu się tu przydarzyło, nazwał wzgórze Słoną Górą. Ta nazwa przetrwała do dziś.

*Zapisała Malwina Lebryk
z SP w Piotrkowicach*

Gilowa Góra

Dawno, dawno temu na zboczach dzisiejszej Gilowej Góry, która wtedy nie miała jeszcze nazwy, mieszkał chłopiec z chorą matką. Żyli bardzo biednie, bo wdowa niewiele mogła zarobić, ciągle chorując. Zimą, kiedy jej stan się pogarszał, na syna spadał cały ciężar utrzymania ubogiej chatki. Chodził więc z płachtą po chrust do okolicznych lasów, nosił wodę z pobliskiego źródła i gotował ubogą strawę. Kiedy miał więcej czasu, zapuszczał się na drugą stronę góry, by tam u starej kobiety dostać trochę jarzębiny. Tą jarzębiną przyozdabiał chatę, żeby matce przyjemniej było leżeć.

Pewnego zimowego wieczoru, kiedy wracał

z tymi ozdobami do domu, nie zauważył, że płachta, w której je niósł, była dziurawa. Kiedy się spostrzegł, już niewiele jarzębiny w niej zostało.

- Mamo! – żalił się – cała prawie jarzębina przepadła, wróć więc, by ją pozbiierać.

- Nie kłopotz się, synku – pocieszała go matka – nic to, przyniesiesz innym razem.

- Nic mi nie będzie – zawołał chłopiec i wrócił tą samą drogą przez las, by pozbiierać czerwone owoce.

Kiedy tak szedł, zbierając jarzębinę zziębniętymi dłońmi, zauważył stada gilów, które wydziobywały ją w pośpiechu. Zatrzymał się i pomyślał.

- Te biedaki też nie mają co jeść, gdy tyle śniegu na polach.

Od tej pory, mimo rozlicznych obowiązków i zmęczenia, nosił jarzębinę i dla nich.

Pewnego wieczoru, kiedy szczególnie się zapóźnił i po ciemku biegł, by jak najszybciej zająć się matką, drogę zastąpiła mu piękna pani, cała w kolorach, i powiedziała:

- Jestem królową ptaków. Za to, że przez całą zimę poświęcałeś się dla

moich poddanych, nosząc im jarzębinę, postanowiłam cię nagrodzić. Kiedy wrócisz do domu, zastaniesz w nim zdrową matkę, a dom zaopatrzony będzie w różne dobra – po czym natychmiast znikła.

Zdumiony chłopiec przeżegnał się, sądząc, że widzi jakąś marę, po czym pobiegł do domu. Jakież było jego zdumienie, kiedy na progu powitała go uśmiechnięta matka, która wołała do niego radośnie:

- Jesteś wreszcie! Siadaj do stołu, bo obiad już dawno gotowy – po czym podała mu pieczonego kurczaka i placek na deser.

Chłopiec ciekawie rozejrzał się po chacie. Wszędzie czysto i pięknie. Półki uginają się pod ciężarem garnków z mlekiem, śmietaną i miodem. W komorze widać wiszące kielbasy i sery, pachną suszone jarzyny i owoce.

- Mamo, czy dobrze się czujesz? – spytał niepewnie.

- Nigdy nie czułam się lepiej – odrzekła zdumiona – a dlaczego pytasz?

- Nic, nic – powiedział, ale dopiero teraz uwierzył w słowa pięknej nieznanomej – więc tak królowa ptaków płaci swoje rachunki – pomyślał jeszcze sennie.

Od tej pory gile zadowolony się na owej górze, którą z tego powodu nazwano Gilową Górą.

*Zapisała Justyna Zbylut
z SP w Swoszowej*

Lubczyk

W dawnych czasach większą część okolic Lubczy porastały lasy, a mieszkańcy zajmowali się uprawą roli, myślistwem i rybołówstwem.

Pewnego jesienno go poranka, zjechał tu król ze swoją świtą na polowanie. Zwierzyno było mnóstwo, polowali długo, aż zastał ich zmrok. Król postanowił zanoćować w okolicy i rozkazał zajećać do przydrożnej, wiejskiej zagrody. Gospodarze z serdecznością przyjęli króla wraz z jego świtą w skromne progi swojej chaty. Król zwrócił się do gospodyni, aby im przyrządziła posiłek z upolowanej dziczyzny. Gospodyni przygotowała ją na swój sposób. Król wraz ze świtą byli zachwyceni smakowitością potraw. Dlatego też król zapytał do gospodyni, co to za przyprawy stosuje, że potrawa jest tak smakowita. Gospodyni rzekła: „- To ziola, które zbieramy na naszych polach, a szczególnej nazwy one nie mają”. Przyniosła je pokazać królowi. Na to król rzekł: „- Dlatego, że mają tak znako-

mayı smak i rosną w przepięknej okolicy -Lubczy- niech się zowią LUBCZYK."

Rankiem król ze swiatą wyjechali na królewski dwór. Lecz niebawem król zawitał znów do owej zagrody, a do gospodarzy rzekł: „- Od czasu ostatniego pobytu w waszej zagrodzie i spożywania tak znakomicie przyrządzonej potrawy, żadna inna mi tak nie smakuje, dlatego zabieram was na królewski dwór jako nadwornych kucharzy króla."

Inna legenda głosi, że w owych czasach, gdy dwoje młodych ludzi miało wstępować w związek małżeński, odbywały się tak zwane „zmówiny". Polegało to na tym, iż rodzice oraz młodzi zbierali się razem. Rodzice omawiali sprawy związane z przyjęciem weselnym, a obowiązkiem młodych było zjedzenie potrawy przyprawionej owym lubczykiem. Było pewne, iż po zjedzeniu tego posiłku przez młodych, będą pałać uczuciem wzajemnej miłości, a po zaślubinach będą żyć długo i szczęśliwie.

Dlatego nie jest rzeczą do końca jasną, czy podczas pobytu w Lubczy i spożywania posiłku z lubczykiem król został oczarowany smakowitością potrawy, czy też magiczne ziele wyzwoliło miłosne uczucie do tejże wieśniaczki...

Potok zwany Szwedką

Szwedzi, napadłszy w 1655 roku na Polskę, zalali jak potop cały kraj i dotarli do południowej jego części – Małopolski. W zajętych miejscowościach rabowali, co tylko się dało. Chcieli także zdobyć Tuchów, ale im się nie udało. Nie zrezygnowali jednak, bo spodziewali się pokaźnych łupów, zwłaszcza w klasztorze. Z początkiem zimy jeden z oddziałów szwedzkich zmierzał od Szywnaldu w kierunku Tuchowa. Prowadził go miejscowy przewodnik. Kiedy oddział znalazł się w Bistuszowej nad potokiem, nagle został zaatakowany ze wszystkich stron. Szwedzi zrozumieli, że wpadli w zasadzkę. Zorganizowali ją mieszkańcy Tuchowa i okolicznych wsi. Najeźdźcy walczyli rozpaczliwie, ale zasadzka była dobrze przygotowana. Zepchnięto Szwedów kierunku rzeki, która dopiero co zamrzła, i tu wybito ich do nogi. Kra i woda w rzece spłynęły szwedzką krwią. Tuchów został ocalony. Na pamiątkę tego wydarzenia potok wypływający spod Brzanki i płynący przez Ryglice, Uniszową, Bistuszową i w Tuchowie wpadający do Bia-

lej, który dotąd nazywano Liciaż, zaczęto nazywać Szwedką.

Niezwykły strumień

Dawno, dawno temu Swoszową nawiedziła straszna susza. Wyszły okoliczne strumienie, leśne źródelka i przydomowe studnie. Został tylko jeden mały strumyk, płynący przez przysiółek Przymiarek, który mimo upałów ciągle miał tyle samo wody. Wszyscy mieszkańcy przychodzili teraz na Przymiarek, by zaczerpnąć wody dla siebie i inwentarza. Stali się bardzo kłótlivi i rozdrażnieni, bo ciągle bali się, że wody może zabraknąć.

Pewnego razu przyszedł nad potok zmęczony i spragniony wędrowiec, chcąc ugasić pragnienie i odpocząć. Miejscowi, ujrawszy to, zaczęli się burzyć:

- Wynoś się! Nie widzisz, że wody jest mało? – wołał jeden.

- Wracaj, skąd przyszedłeś! – dodawał inny.

- Ludzie – bronił się wędrowiec – pozwólcie mi ugasić pragnienie! Dlaczego nie dacie mi wody?

- A dla nas co będzie? – wołali mieszkańcy – nie widzisz, jaka susza – doda-

wali zdenerwowani.

Chcąc nie chcąc przybysz oddał się, mając nadzieję, że wkrótce dotrze do życzliwszych mu ludzi. Mieszkańcy wrócili do swoich spraw i szybko zapomnieli o całym zdarzeniu. Wkrótce jednak zdarzyło się coś bardzo dziwnego, co im o tym przypomniało. Oto kiedy jeden z tych, którzy przepędzili wędrowca, nachylił się nad strumieniem, by nabrać wody, usłyszał dziwny głos:

- Ty niewdzięczny człowieku! – wołał głos.

- Kim jesteś? – spytał struchlały ze strachu mieszkaniec.

- To ja, chochlik tego strumienia – ciągnął głos – przez twój brak życzliwości cała wieś zostanie ukarana – dodał.

- Chochliku, nie czyń tego – prosił przerażony mieszkaniec.

- Muszę to uczynić, gdyż człowiek, któremu poskapiłeś wody, umarł z pragnienia – zakończył chochlik.

- Proszę cię, nie karz całej wioski, kiedy tylko ja zawiniłem – prosił nadal mieszkaniec.

- Skoro przyznajesz się do winy, cofnę swoją decyzję, ale ty musisz opuścić wieś!

- Uczynię, jak zechcesz – zgodził się ów człowiek.

Tak oto mieszkańcom nie brakło wody, ale od tego czasu bardzo się zmienili. Zrozumieli powiedzenie: „Gość w dom, Bóg w dom”. Każdy przybysz był tu życzliwie witany i nigdy nikomu nie odmówiono już wody w myśl biblijnej rady: „Darmo dostaliście, darmo dawajcie!”

Strumień ten płynie na Przemiarku po dziś dzień i rzeczywiście nigdy nie wysycha w nim woda.

Zapisała Agnieszka Paszyńska z SP w Swoszowej

Kaboć

Działo się to dawno, bardzo dawno temu, jeszcze za panowania Kazimierza Wielkiego. W Lubaszowej był wtedy gródek, wybudowany na skale, strzegący szlaku handlowego na południe. Droga do drugiej części wsi biegła właśnie przez skalę. Można nią było dojść do bogatszej części wsi, w której co tydzień odbywały się targi, a poza tym było tam Uzdrawiające Źródło. Ludzie żyli wtedy ubogo, ale spokojnie, ciężko pracowali na roli i dokuczały im różne dolegliwości, na które szukali lekarstwa

w wodzie z Uzdrawiającego Źródła.

Zdarzyło się, że właściciel gruntu, przez który biegła droga, nie mogąc oddać długu bogatemu panu Kabotowi, musiał oddać mu ziemię. Ten zorientował się szybko, iż ta droga może stanowić dla niego źródło dochodu, bo uzdrawiająca woda jest dla mieszkańców bardzo cenna. Dlatego zamknął drogę i wprowadził opłaty za przejście. Bardzo to ludzi zmartwiło. Mówili:

- Chociaż u nas strasznej biedy nie ma, to kto ma pieniądze na opłatę za chodzenie drogą? Bieda i choroby teraz będą.

Co bogatsi płacili. Znak wtedy dostawali, żeby nie płacić za powrót. Ale i oni coraz częściej na Kabota utyskiwali. Coraz bardziej wieś pogrążała się w biedzie, coraz bardziej mieszkańcom dokuczały choroby.

Obserwował to Anioł Stróż Kabota i bardzo się martwił.

- Cóż ten mój podopieczny wyprawia? – zakrzyknął na całe niebiosy i popędził do Kabota. A że ten uciął sobie poobiednią drzemkę, Anioł Stróż nawiedził go we śnie.

- Co ty sobie myślisz?

Ludzi krzywdzisz! Wieś przez ciebie schodzi na psy! Wstydź się! Żeby tak ludzi z ostatniego grosza obdzierać!

Jasność jakaś niesamowita ogarnęła śpiącego. Poruszony tym snem, zerwał się i poleciał do wioski, krzycząc:

- Ludzie, ludzie, cud się zdarzył! Ręka Boska mnie dotknęła! Jestem nawrócony!

- Oszalał Kabot? – mówili ludzie między sobą – Co go spotkało? Nawrócony? Żarty sobie z nas stroi czy co?

Dopiero jak Kabot posłał służbę, żeby w każdym domu ogłosiła, że odtąd droga do drugiej części wsi i Uzdrawiającego Źródła jest wolna i nic płacić za przejście nie trzeba, mieszkańcy Lubaszowej zaczęli schodzić się do źródła i czerpać wodę z niego. Kabot ucztę wyprawił i zaprosił wszystkich z wioski. Na jej zakończenie ogłosił:

- Kto mnie nawrócił, nie powiem, bo i tak nie uwierzycie, ale zapowiadam, że w najbliższym czasie nową kaplicę pod wezwaniem Najświętszej Maryi Panny ufunduję.

Dwa lata później Kabot umarł; polankę, na której go pochowali, na jego

pamiętkę Kaboć nazwali. Dziś już prawie nikt tej historii nie pamięta. Tylko ja usłyszałam jej strzępki od brzozowego lasu, do którego czasem chodzę. Co zaś do kaplicy, którą obiecał Kabot zbudować – powstała dopiero po wielu stuleciach.

Alicja Dusza SP w Lubaszowej

*Opracował
Józef Koziół*

BIBLIOGRAFIA

1. A. Bartosz, *Z etnografii regionu tarnowskiego. Kultura ludowa regionu i zbiory muzealne*, Muzeum w Tarnowie, Tarnów 1975.
2. A. Bartosz, *Obrzędy doroczne w Tarnowskiem*, Muzeum Etnograficzne, Tarnów 1986.
3. A. Bartosz, *Rzepiennik Strzyżewski, Materiały etnograficzne*, Muzeum Okręgowe, Tarnów 1992.
4. M. Bogucka, *Staropolskie obyczaje w XVI, XVII wieku*, PIW, Warszawa 1994.
5. O. Kolberg, *Dzieła wszystkie*, tom 48, Polskie Towarzystwo Ludoznawcze, Wrocław 1967.
6. A. Małuszczyk, *Pogórze Karpackie*, Tarnów 1995.
7. M. W. Solarz, *W Paśmie Liwocza i Brzanki*, Krosno 1998.
8. *Rzepiennik Wczoraj i Dziś*, Kwartalnik społeczno-kulturalny, Gminny Ośrodek Kultury.
9. *W Gminie Szerzyny*, Kwartalnik społeczno-kulturalny, Gminny Ośrodek Kultury w Szerzynch.
10. *W Paśmie Brzanki*, Kwartalnik kulturalny, Gminny Ośrodek Kultury w Ryglicach.

